

5 617

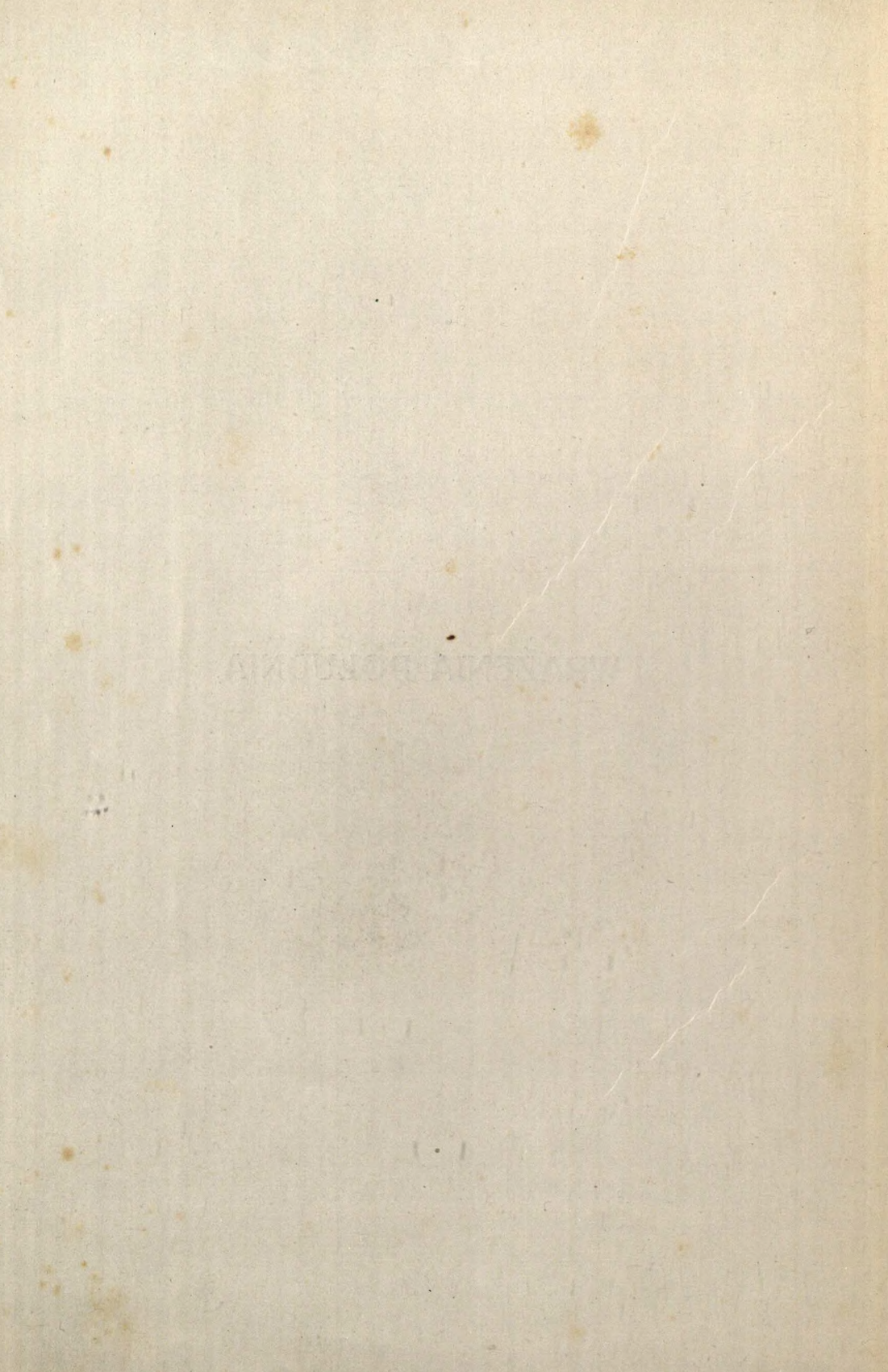
STANISŁAW WITKOWSKI

==

WRAŻENIA
POŁUDNIA

WRAŻENIA POŁUDNIA.

1892 ~



STANISŁAW WITKOWSKI.

WRAŻENIA POŁUDNIA

(GRECYA.— SYCYLIA.— HISZPANIA.— Z MAROKKO.)

Z 56 ILLUSTRACYAMI.



SKŁADY GŁÓWNE:

E. WENDE I SPÓŁKA WARSZAWA,

H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I S-ka LWÓW.

—
1914.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5167632

STANISŁAW WITKOWSKI

WRAŻENIA POBUŻDZENIA

(ORĘDZIA — SYGNAŁ — WISZPANA — I MAROKKO)

W WARSZAWIE



5617

NAKLAD I DRUK ZAKŁ. GRAF. TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW

NH-03000/ITMK

PAMIĘCI BRATA.

SPIS ILLUSTRACYJ.

	str.		str.
Kaktusy i osły (inicyał)	3	Dziedziniec w Generalife (według akwareli Vignala)	96
Pole maratońskie	12	Brama w Alhambrze (według akwareli Vignala)	97
Tajget	21	Okno w Alhambrze	98
Tajget	23	W Dziedzińcu mirtów w Alhambrze (wedł. akwareli Vignala)	99
W wąwozie Langada	27	Dziedziniec lwi w Alhambrze	101
Delfy (okręg święty, w głębi Fajdryady)	40	Meczet w Kordowie	104
Delfy (widok ku pld.-wschodowi)	42	Stalle kaplicy w meczecie w Kordowie	106
Źródło Kastalia w Delfach	44	Z ogrodu haciendy de la Concepcion w Maladze	111
Równina metaponcka	53	Z ogrodu haciendy de la Concepcion w Maladze	112
Świątynia grecka w Metaponcie	54	Z ogrodu haciendy de la Concepcion w Maladze	112
Taormina (winjeta rozdz. Sycylia)	57	Gibraltar	113
Aloesy	59	Ogrody Gibraltaru	114
Etna (z kaktusami)	60	Mury miejskie w Tangerze (winjeta rozdz. „Z wycieczki do Marokko“)	121
Krater Etny	66	Tanger	123
Etna widziana z Taorminy	69	Typ marokkański	124
Syrakuzy (według akwareli K. Bussego)	71	Brama w Tangerze	124
Źródło Aretuza w Syrakuzach	72	Dziewczyna marokkańska	125
Krzewy papirusowe w Syrakuzach	73	Ulica w Tangerze	125
Ruiny świątyń w Selinuncie	77	Odaliska w Tangerze	126
Świątynia grecka w Segeście	82	Kabyl	126
Teatr grecki w Segeście	83	Brama w Tangerze	127
Eskoryal	87	Zaklinacz węzów w Marokko	129
Eskoryal od strony ogrodu	87	Dziewczyna marokkańska	130
Okolica Eskoryalu	88	Dziewczyna wiejska z Marokko	130
Pałac królowki w Aranjuezie	89	Kazba (cytadela) w Tangerze	131
Most w parku w Aranjuezie	89	Brama cytadeli w Tangerze	131
Aleja w ogrodzie Aranjuezu	90		
Z ogrodów Aranjuezu	90		
Granada (na lewo Alhambra)	93		
„Czerwone wieże“ Alhambry i Granada	95		

GRECYA.

Tam góry chmurą owiane błękitną,
Na górach kolumn potrzaskane głowy,
Nad niemi wiecznie kwitnie laur różowy,
Pomarańczowe drzewa wiecznie kwitną
I śniegiem kwiatów zasypują gruzy.

J. Słowacki, Lambro I 1.

Ta lipa dla nas, jak Partenon grecki,
Ma pełno smutku niewymówionego.

J. Słowacki, Podróż na Wschód VI 61.

Na ziemi greckiej.



iezapomniane chwile, które komuś danem było spędzić na ziemi greckiej! Wraca się do nich w wspomnieniach, jak do promiennych dni młodości. W słonecznej tej krainie żyło się pełnią życia fizycznego i wśród subtelnych rozkoszy umysłowych. Bywało, że kilka dni z rzędu nie odbierało się listów, nie widziało gazet, wiodło się życie prawie pierwotne, wśród natury, zdala od cywilizacji,

która gdzieindziej chwyta nas w swe szpony na każdym kroku: przeprawiało się przez rzeki, wspinało na skały, wystarczał skromny posiłek i ubogie legowisko. A obok tego nieopisane uczucia na miejscach wielkich wypadków dziejowych i najwyższe rozkosze płynące z dzieł sztuki i piękna natury. W świetle skąpane góry i skały, w świetle skąpane morze.

Grecya w podwójnem znaczeniu jest ojczyzną poezyi i sztuki, bo nietylko poezya jej i sztuka czaruje nas dotąd po wiekach, ale i wędrówka po ziemi greckiej zapładnia w poecie i artyście twórczość. Ileż to głębokich wrażeń daje ziemia grecka poecie! Zachwycała ona naturę tak nowożytną jak Słowackiego. A piękno otwiera się tu nawet przed umysłem, któremu przedtem było niedostępne. Maurycy Barrès, który według własnego wyznania nie umiał przed podróżą grecką odczuć piękna ciała ludzkiego, zachwyca się tu Fidyaszem, a zwłaszcza rzeźbami naczółków Partenonu, których urok polega przecież głównie na szlachetnem pięknie postaci ludzkiej. Grecya odkryła piękno postaci ludzkiej — to jej wieczna zasługa. — I dziś przez nowoczesnych pielgrzymów szerzy w świecie zmysł piękna a wstręt do przesady i patosu.

Przed artystą otwiera się tu niewyczerpana kraina kształtów, barw i światła. Taine nazwał Partenon „wieczną religią artystów“.

Któż siliłby się o oddanie uczuć, których się doznaje, stojąc na Akropolu ateńskiej, tym „opuszczonym ołtarzu“? Nikt się o to nie pokusi, tak jak nie pokusi się o kreślenie wrażeń, doznawanych na Kapitolu. Tylko tu wrażenia są daleko czystsze niż na Kapitolu. Tu oko nie padnie na Kolizeum ani na łuki oblane łzami podbitych i niewolników. Tam zaginęła siła, tu piękno. Już Epiktet mienił nieszczęśliwym tego, kto choćby raz w życiu nie wszedł na Akropolę.

Samo wstąpienie na ziemię grecką odmładza duszę. Podróż po Grecyi zmniejsza też to uczucie pewnej obcości, dalekości, które dla człowieka dzisiejszego ma cywilizacya grecka.

Nad brzegiem Ilisu.

Nie wiele się tu przemieniło od czasu Platona. Może tylko strumyk ma nieco mniej wody. W początku maja mogłem kroczyć łożyskiem spory kawał; łożysko było zupełnie suche. Podobnie suchym widział Ilisos już i Słowacki. Ale i dziś jeszcze, jak wtedy, kiedy Sokrates rozstaczał przed Fedrusem niebiańskie wizye dusz, rozłożyste platany zapraszają w swój rozkoszny cień, jeszcze dziś brzegi strumyka stroją się w murawę i woń kwiatów upaja przechodnia, cykady zawodzą w czas skwaru południa swą rozkosznie senną melodyą i słońce leje strugi światła i życiodajnego ciepła. W swoim niezrównanym opisie zapomniał tylko Platon o rzeszach ptasząt, które i wtedy, jak dzisiaj, śpiewem musiały ożywiać ciszą ustronia. Jeszcze i dziś oko pada na cudowne linie białego Partenonu, rysujące się ostro w górze na szafirowem tle nieba, i na stoki Akropolu z teatrem Dionysosa. Tylko Nimfy i bóg rzeczny Acheloos opuściły swe schronienie, bo dzisiaj nikt nie stawia im tu posążków ani nie składa ofiar. Wstaje przed nami widzenie królewny Orejty, rwącej kwiaty w orszaku rówieśnic, ponad brzegami strumyka i postać groźnego, brodatego Boreasa, który porywa ją i uwozi w mrozy północy.

Tu, nad brzegi Ilisu, w sąsiedztwo Akropolu chroni się podróżny z obcych mu Aten dzisiejszych; z Aten no-

wych ucieka w Ateny stare, duchowo mu bliższe. Fale gwaru wielkomiejskiego obijają się o ściany Akropolu i nie dochodzą tutaj zupełnie. I dzisiaj tu ta sama cisza, której szukał Sokrates z Fedrusem dla rozprawiania o najwyższych zagadnieniach filozofii.

Kolonos.

Kolonos trzeba oglądać pod zachód słońca. Nigdzie czar Attyki nie występuje tak silnie jak tutaj. I rozkoszny chłód olbrzymich, starych drzew i śpiew słowików ukrytych w nieprzebytych gąszczach ogrodów dziś jeszcze, jak za czasów Sofoklesa, daje wypoczynek po skwarze ulic ateńskich. Bujna roślinność utrzymuje wilgoć, która tak jest rzadką w Attyce, skalistej, bezdrzewnej, spalonej słońcem. Z pagórka spogląda się na pogodny zachód słońca, owiewający krajobraz słodką, łagodną melancholią. W dali błyszczą w ostatnich promieniach słońca marmury Akropolu i złoci się szczyt Lykabettu.

Wśród ruin Eleusis.

Jesteśmy w jednym z miejsc w Grecji najstarszych i najświętszych. Kult Wielkich bogiń musiał być bardzo dawny, skoro już w epoce przedhistorycznej tworzyła Eleusis osobne państwo kapłańskie. Nawet droga, którą kroczyła z Aten procesya, nazywała się „świętą”. Z dawnej wspaniałości zostało dziś mało. Trzeba przywołać dopiero na pomoc wyobraźnię, aby wskrzesić obraz marmurowych świątyń i niezliczonych posągów, które tu oglądali niegdyś pobożni z całej Grecyi. Świetność miejsca zniszczyła barbarzyńska ręka Gotów pod Alarykiem około r. 400 po Chr.

Starożytni milczą o misteryach, powodowani wciąż religijną. Pausanias, który należał do grona wtajemniczonych, nie daje nam opisu świętego przybytku. Spodziewano się, że wykopaliska zerwą zasłonę z mroku misteryów. Nadzieja ta zawiodła. Misterya pozostały nadal zagadką. Jedyne źródłem naszych wiadomości są ruiny i napisy, ale źródła to skąpe.

Święty okrąg obejmuje szereg budowli, po których zachowały się tylko fundamenty. Ogniskiem ceremonij było Telesterion. Tu wtajemniczano wiernych. Dzisiaj święty okrąg przedstawia się tak, jak wyglądał w epoce cesarstwa. Świetne budowle powstały w Eleusis w 5-m wieku przed Chr.; czynny tu był wielki budowniczy Par-

tenonu, Iktinos. Budowle epoki peryklejskiej zajęły miejsce starszych budowli, spalonych przez Persów. Ale i te nie były najstarsze; już przed nimi istniały inne.

Dörpfeld objaśnia ruiny. Podziw budzi, jak wiele doświadczone oko archeologa potrafi wyczytać z ruin tam, gdzie profan nic nie widzi. Oto na przykład, kilka krzyżujących się murów. Z tego, który z nich leży wyżej, który niżej, poznaje się wiek budowy. Mur leżący pod drugim pochodzi ze starszej epoki. Albo oto posadzka świątyni i dolne ułamki szeregu kolumn. Niewtajemniczony nic tu więcej nie dostrzega. Ale archeolog widzi, że pomiędzy jedną parą kolumn kamień bardziej jest wydeptany. Z tego wniosek, że między temi dwiema kolumnami znajdowały się drzwi, wiodące do świątyni. Ówdzie znowu zachował się długi próg kamienny. W pewnem miejscu znajdują się w nim dwa otwory. Cóż to mówi dla zwykłego śmiertelnika? Nic. Tymczasem uczony wnosi z tego, że w tych dwu otworach musiały się obracać osie drzwi a ponieważ nie widać śladów muru, w którymby te drzwi były wybite, więc próg cały musiał być zamknięty balustradą. — Wchodzimy do wielkiej sali, w której wierni w skupieniu przyglądali się niegdyś ceremoniom misteryów. Ściany sali ani kolumnada nie zachowały się, zachowały się tylko bazy kolumn. Ale archeolog może powiedzieć coś o wysokości sali. Ze średnicy baz kolumn wnosi, że ściany musiały być wysokie, bo wobec stałych proporcji kolumn greckich, kolumny grube musiały być i wysokie, a tem samem wysoką i sala. Co więcej, zaprawione na ruinach oko wnosi, że sala była dwupiętrowa, bo liczba kolumn jest za wielka jak na zwykłą wysokość sali. Nawet o kształcie niezachowanego posągu można coś powiedzieć, widząc zachowaną bazę. Kształt jej pozwala oznaczyć, czy spoczywała na niej figura siedząca lub stojąca.

Ale opuśćmy ruiny a rzućmy okiem na krajobraz. Przed widzami, którzy przybywali niegdyś z najdalszych

krańców Grecyi na uroczystości misteryów, otwierał się tu dziwnie piękny widok. Gdy usiedli w cieniu drzew oliwnych i patrzeli na lazur morza, to z szerokiej zatoki wynurzała się przed nimi Salamina, która wydaje się większą niżesmy ją sobie wyobrażali; po lewej ręce oko ich padało na góry Aigaleos. Z tyłu, na tle wzgórza, bieliły się marmurowe świątynie Eleuzyny.

Dziś świątynie w ruinach. Miejsce dawnej świetności zajęła uboga rzeczywistość. Dzisiejsza Eleuzyna to nędzna wioska, o powietrzu febrycznym, zamieszкана przez Albańczyków. Tylko przyroda pozostała w swej dawnej krasie. Na ruinach bujnie strzela roślinność: mięty, rumianki, powódź rozmaitych żółtych i białych kwiatów roztacza odurzający zapach. Maki polne przybierają w świetle tutejszego słońca kolor ciemnopurpurowy, tak soczysty i gorący, jakiego nie mają nigdy u nas w bladych promieniach północy. Po tych to błoniach Kora zbierała kwiaty, kiedy zjawił się w pobliżu rydwan ponurego Hadesa. W oddali, choć to dopiero pierwsze dni kwietnia, widać drzewa pomarańczowe i migdałowe tonące w kwieciu białem i różowem, opodal zboże szumi już kłosem.



Pole maratonskie.

Pole maratońskie.

Równina nad morzem, zamknięta górami w półkole. Pokrywają ją łąny zboża i winnic, częścią porasta sito-
wie. I w starożytności miejsce było bagniste; kto wie,
czy właśnie to nie przeszkodziło jeździe perskiej wziąć
udział [w bitwie. Wśród niziny sterczy samotny kopiec.
Nic na nim prócz skromnego drzewka laurowego a jed-
nak kopiec mówi głosem wielkim. Kłosa łąnów szumią
z lekka, zachodzące słońce złoci przeciwległe góry Eubei.
W powietrzu cisza niezamącona. W tej ciszy dosłuchi-
wano się już w starożytności nocami rżenia rumaków
i szczęku wojennego.

Morze uderza monotonnie falą o brzeg i śpiew pta-
ków jest jedynem dochodzącym echem życia. Wdzięcz-
ność czujemy dla ludzi, że nie osiedlili się na tem wiel-
kiem miejscu i uszanowali ciszę grobu, w którym leżą
prochy obrońców nie tylko wolności greckiej, ale i naszej
cywilizacji dzisiejszej. Bez Maratonu bylibyśmy barba-
ryncami.

Nocą do krateru Kaïmeni.

Dwie łodzie wypływają z nami z portu wyspy Tery. W każdej siedzi po 12 osób. Jest godzina ósma wieczór. Prześliczny wieczór wiosenny. Księżyc płynie wysoko po jasnym niebie i srebrzy zatokę. Zbliżamy się do czarnych, dzikich skał wulkanicznych. Tuż przed nami otwiera się cieśnina morska. Dno jej pokrywają podwodne rafy. Łódź nasza zahacza gdzieś o nie i nie może ruszyć naprzód. Połowa z nas wysiada na ląd i dopiero wtedy łódź, stawszy się lżejszą, może przepłynąć przez gardziel cieśniny. My towarzyszymy jej po wybrzeżu. W cieśninie łódź i jej pozostali pasażerowie pogrążają się w głęboki cień skał. Czysta wizya Acherontu. Tylko białe szale młodej Amerykanki błyszczą wśród ciemności.

Łódź wynurzyła się z cieśniny i wpłynęła na wody małej, okrągłej zatoki, zamkniętej dokoła czarnymi ścianami wysepki Kaïmeni („Spalonej“). Tak ta, jak inne drobne wysepki są początku wulkanicznego. Jedna z nich powstała nawet dopiero przed niespełną pół wiekiem. Wstępujemy napowrót w łódź, która niezadługo przybija do wybrzeża zatoki. Wysiadamy i rozpoczyna się wędrówka piesza po wulkanicznych skałach, dzikich i poszarpanych. Sceneria jak z dantejskiego piekła. W powietrzu cisza, cisza podwójna: nocy i pustkowia. Jakieś suche rośliny czołgają się zrzadka wśród skał. Początko-

wo kroczymy po równinie, po jakimś czasie zaczynamy pięć się w górę. Zapach siarki dolatuje zdaleka. Wchodzimy na grzbiet wzgórza.

Przed nami pokazuje się z drugiej strony wysepki nowa jakaś, wązka zatoka. W tej chwili środek jej zalewają potoki światła księżycowego; po bokach, pod skałami, światło słabnie i ginie. Gdzie spojrzysz, dzikie, olbrzymie skały. Zda się, że wstają z za nich przebudzeni przez nas ze snu Giganci, którzy w strasznej walce spiętrzyli te czarne głązy. Skały rzucają ogromne cienie a i nasze cienie przybierają potworne rozmiary.

Zbliżamy się do krateru. Księżyc oświeca tylko górną część jego czarnej paszczy. Ziemia dokoła wykwita siarką. Ciepło jej czujemy przez podeszwy obuwia. Naprzeciw rozłożyła się wysepka Nea Kaïmeni. Jak olbrzymi sierp wydłużona ciągnie się Tera. Na wysokiej, pionowo ściętej ścianie wybrzeża bieleją mury miasta Phira. Z drugiej strony ciemnieją jakieś wysepki. Woń siarki dusi prawie. W oddali rozróżniamy żółte światła naszego okrętu, stojącego w ciszy nocnej spokojnie na kotwicy.

Rozpoczyna się odwrót. Po gładkim pumeksie zsuwamy się na dół, brodząc po kostki w popiele, to znowu z trudem kroczymy po ostrych kantach wulkanicznych skał.

Z podań mykeńskich.

Sofokles musiał chyba być w Mykenach, że poszedł za mitem, akcyą Elektry umieszczającym tutaj, a nie w Aischylowem Argos. Musiał na sobie odczuć ponurą poezją tego miejsca, której brak krajobrazowi argiowskiemu. Dla krwawej, wstrząsającej tragedji rodzinnej Agamemnona trudno znaleźć tło odpowiedniejsze. Ponura, ciemna ściana górską, zamykającą Mykeny od północy i wschodu, mimowiednie pobudza wyobraźnię do snucia pełnych grozy obrazów. Odczuwali to bez wątpienia już starożytni, jak o tem świadczą przerażające podania o zbrodniach rodu Pelopidów, odczuwamy i my dzisiaj. Spłamiona krwią postać cudzołożnej Klytajmestry i dziki, górski krajobraz Myken zlewają się dziwnie w jednolitą całość.

Przez Tajget.

Ranek wielkanocny wstał pogodny nad Spartą. O ile dzikie i puste góry, któreśmy przebywali poprzedniego dnia jadąc tu z Tripolis, w pochmurny dzień wydawały się nam jeszcze więcej ponure, o tyle zachwycamy się się dziś położeniem Sparty. Wyobraźcie sobie ogromną, urodzajną równinę, pełną zbóż i drzew, tonącą w zieleni. W jej środku leży Sparta. Od północy i południa ciągną się niskie wzgórza; ku wschodowi płynie Eurotas a w znacznej dali za nim wznosi się łańcuch Parnonu. Wspaniały jednak widok otwiera się dopiero, kiedy zwrócimy się ku zachodowi. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że Tajget to takie majestatyczne góry. Miałem zawsze — nie wiem dla czego — przekonanie, że to niewielkie wzniesienie. Tymczasem jego poszarpane, śnieżne wierzchołki wznoszą się do 2400 m. a więc do wysokości naszych Tatr a nad Spartą górują tak, jak pionowe ściany alpejskie nad Insbrukiem. Spartę zbudowano pod najwyższymi szczytami Tajgetu. Dziwne wrażenie robi kontrast gór, tylko dołem pokrytych rzadkim lasem, wierzchem całkiem nagich a tej niezmiernie bujnej roślinności równiny. Taki widok dwu światów zupełnie odmiennych jest i w Grecyi rzadki. Nie przypominam sobie drugiego. Widok żyznej równiny wywołał we mnie jedną myśl. Nigdy nie pociągał mnie szorstki i mało kulturalny cha-

rakter Spartan, ale imponowała mi ich dzielność. Bez-
wiednie umieszczałem ich w myśli na tle surowej, górskiej
okolicy. Kiedym poznał teraz warunki, wśród których
żyli, poczułem dla nich wprost podziw. Jak mogli ci lu-
dzie wśród tej miękkiej przyrody, w tym rozkosznym ogo-
dzie, niosącym plony prawie bez pracy, zachować swą
stalową dzielność? A zważmy do tego, że nie pracowali
ręcznie, bo ciężar ten spadał na helotów! Ich doryjscy
współbracia w sąsiedniej, równie żyznej Messenii nie
utrzymali hartu ducha, lecz zniewieścieli z czasem zu-
pełnie.

Sparta robi dziś wrażenie jednego wielkiego sadu.
Przez całą starożytność Sparta była właściwie wielką
wsią, o szerokich ulicach i licznych ogrodach. „Szeroką“
nazywa ją już Homer. Taką została do dzisiaj. Roz-
ległe place, szerokie ulice, domy niewysokie chowają się
przeważnie w zielone sady.

Zwiedziliśmy już skąpe ślady miasta starożytnego:
teatr i jakiś okrągły budynek o nieznanem przeznacze-
niu. Rozpaczam przechadzkę po mieście. Cisza nie-
dzielna leży nad równiną. Tu i w dzień powszedni ruch
musi być niewielki, coś dopiero we święto. Wstępuję do
kawiarni. Siedzą w niej grupy mężczyzn, rozprawiają-
cych, jak wszędzie w Grecyi, żywo o polityce. Cóż za
taniość! — mówię w duszy z westchnieniem. Za dwa ja-
ja na miękko, filiżankę wybornej czarnej kawy i ciastko
płacę 40 lepta, t. j. około 25 halerzy.

Przed ruszeniem w dalszą drogę udaję się zobaczyć
Eurotas. Około kilometr na wschód od miasta widać
jego wcale szerokie wody. Pierwsza to prawdziwa rzeka,
jaką spotykam w Grecyi. Wielką rzekę miałem dopiero
później zobaczyć w Elidzie: Alfejos koło Olimpji. Ze sta-
rej Sparty nie zostało wiele, ale przyroda jest trwalszą
od dzieł rąk ludzkich. Dziś trzcina i sitowie szumi nad
Eurotasem tą samą jednostajną melodyą co za czasów
Lykurga. Na posłaniach z tej trzciny sypiała młodzież

lakońska. Zrywam parę trzcin na pamiątkę. Grunt, na którym leży Sparta, jest dziś bagnisty. Życie wśród tej bujnej roślinności byłoby tu zupełnie szczęśliwe, gdyby nie febry wiosenne i letnie. Wiklina pełza pomiędzy si-
towielem, a z pośród kęp dzikiego oleandru strzelają w gó-
rę wierzchołki srebrzystych topoli. Wody Eurotasu toczą
się leniwie, z jakimś melancholijnym szmerem. Po dru-
giej stronie rzeki widać wzgórze o odkrytych warstwach
równoległych, koloru czerwonego.



Tajget.

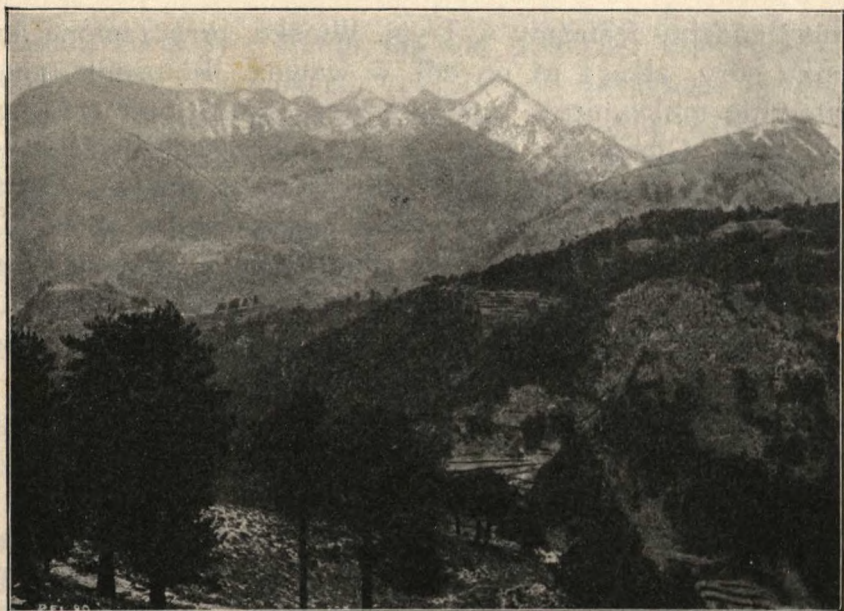
Zawracam do miasta. Sady i sady! 15 kwietnia to
tutaj pełnia wiosny, jak u nas pod koniec maja. Od bla-
dego liścia drzew oliwnych odbija świeża zieleń drzew
morwowych i pomarańczowych, które tu tworzą całe sa-
dy. Od zachodu szarzeją na stokach Tajgetu ruiny śre-
dniowiecznego zamczyska w Mistrze.

Słońce zaczyna się już zniżać nad grzbiet Tajgetu.
Dosiadamy mułów i ruszamy w stronę śnieżnych szczy-
tów. Przez pięć dni mamy odtąd żyć na koniu, wśród

natury, prawie bez potrzeb, tak jak się żyło przed wiekami. Niektórzy z towarzyszków siedzą pierwszy raz w życiu na ciepłym grzbiecie zwierzęcym i mają niepewne miny. Kilku z nich nabawiam ogromnego kłopotu, bo wprawiam swego muła w kłus, za moim przykładem idzie kilku agojatów a widok kłusujących towarzyszy porywa za sobą muły moich najbliższych sąsiadów. Podobno dla kilku ten piewszy w życiu kłus upamiętnił się nawet.

Przebywamy jakąś rzeczulkę i to po moście — rzecz nie częsta w Grecyi —, potem ciągle wśród zielonych pól kukurydzy i wśród sadów dojeżdżamy do małej wioski. Tajget wspaniale strzela przed nami w górę. Dołem ma rzadkie lasy, górą nagi, ale nie tak dziki i poszarpany jak Tatry lub Alpy; góry na południu mają zawsze linie więcej łagodne. Po stokach Tajgetu wiją się białe ścieżki, prowadzące do wiosek, ukrytych gdzieś w załomach górskich. Miejscami od ciemnej zieleni drzew szpilkowych odrzynają się białe kapliczki. Stoki poprzerzynane wąwozami. Dnem wąwozów szumią górskie potoki. Przed nami pokazują się w oddali ruiny Mistry.

Jeszcze jedna rzeczka i jeszcze jedna wioska z domami tonącymi w zieleni i po godzinie jazdy jesteśmy w wiosce Mistra. Zostawiamy tu nasze muły z przewodnikami a sami drapiemy się kilkanaście minut w górę i naraz znajdujemy się w zupełnie nowym świecie. Około nas cała romantyka średniowiecza. Prawie jak gdybyśmy znaleźli się gdzieś wśród zamków Turynгии lub nad Renem. Z potężnych murów zamku, który niegdyś gościł Franków, a później Turków i Wenecyan, zwisają ku nam zdaleka ciemne sploty bluszczu. Zamek góruje nad miastem ruin. Widok tego zamarłego miasta jedy-ny! Istne Pompei średniowieczne! Wędruje się śród krętych i wązkich uliczek, domów zachowanych dobrze lub rozwalonych w gruzy, śród kościołów z przepysznymi freskami bizantyńskimi, to pełnymi siły, to zachwycającymi wdziękiem i delikatnością pędzla, śród pałaców, klaszto-



Tajget.

rów i kaplic, pomiędzy które wiją się starożytne obwarowania.

Mistra po odebraniu Frankom stała się stolicą Paleologów w Morei. Sąsiednia Sparta straciła wtedy znaczenie tak dalece, że nazwę jej przenoszono na Mistrę.

Drapiemy się ku murom fortecy. Z terasy jej rozciąga się ku wschodowi rozkoszny widok. Przed nami rozległa równina lakońska, przerznięta połyskującą w słońcu srebrną wstęgą Eurotasu. W środku równiny bieleją wśród ogrodów mury dzisiejszej Sparty. Po równinie rozsiane wioski, również wyglądają na wielkie ogrody. Takim ogrodem jest i leżąca u stóp naszych Mistra. Chylące się ku zachodowi słońce kładzie cienie na tonącą w zieleni wioszczynę. Czas udać się na nocleg do sąsiedniej wioski Trypi, położonej już u wejścia do wielkiego wąwozu Langada (słowiańskie: łąka!), który przerzyna Tajget na poprzek i zaprowadzi nas jutro w żyzne równiny Messenii. Wsiadamy na muły i w pół-

torej godziny jesteśmy w Trypi. Wioska, przyczepiona do boku góry, zbiega aż na dół w wąwóz. Położenie niezmiernie malownicze, zostanie każdemu w pamięci, co był tutaj. Olbrzymie, stare drzewa tchną świeżością wieczoru, dołem słysząc szmer górskiego strumyka. Choć godzina jeszcze niepóźna, wioska pogrążona już w cieniu, bo słońce schowało się za grzbiet Tajgetu; przeciwległa ściana wąwozu złoci się jeszcze w promieniach. Opodal, z pod arkad jakiejś budowli, tryskają obfite źródła i spadają na dno wąwozu perlistymi sznurami kaskad. W nocy słowiki zawodzą pieśni miłosne w gąszczach aż do rana.

Rano budzą nas pierwsze promienie słońca. Zapowiada się dzień prześliczny. Cóż za cudowna gra światła i cienia! Jedna ściana wąwozu cała w cieniu. W nim kryją się domy i olbrzymie, stare drzewa wioski. Druga ściana zalana już porannem słońcem. Wysoko nad skałami wąwozu błękitnieje niebo bez chmury. Kontrast bujnej, wiosennej zieleni drzew i ogrodów a dzikich, skalistych ścian pod naszym niebem nieznanym. Szpilkowe drzewa naszych wąwozów górskich nie mają tej soczystej, wiosennej zieleni co platany i jawory. Świeżość i rozkoszny chłód poranka, zieleń otaczająca nas dokoła, złote promienie słońca rozlane w powietrzu wlewają w serce radość życia. W świeżym powietrzu pierś oddycha szeroko.

Ale oto muły stoją już osiodłane. Wsiadamy i ruszamy w czeluść potężnego wąwozu, prowadzącego od wschodu ku zachodowi napoprzek Tajgetu.

Tajget charakterystyczny jest tem, że ma pełno dzikich wąwozów a nie ma właściwych dolin. To też już w starożytności uchodził za góry trudno dostępne. Wąwóz Langada, którym pojedziemy, stanowił niegdyś i stanowi dotąd jedyne połączenie Sparty z Messenią.

Droga biegnie wzdłuż północnego boku wąwozu. Chwilami wznosi się aż do połowy potężnej ściany wa-

piennej, to znowu spada na dno wąwozu. Góry nagie, bezdrzewne. Tu i owdzie czepia się skalistych zboczy krzak, miejscami pełza kępka trawy, — to cała roślinność. Zresztą nic jak szare ściany skalne. Ciągłe jeszcze jedna ściana wąwozu pogrążona w cieniu, druga zalana słońcem. Miejscami droga w skale wykuta ręką ludzką; zresztą ścieżkę wyźłobiły wody wiosenne i deszcze. Głazy dołem są białe, gładkie, bo, płótkane ciągle przez wody, nie mają czasu wietrzeć; górą szare, skruszone.

Ścieżka wązka, tyle tylko ma szerokości, ile wody zdołały wyźłobić. Gdzieniegdzie zaledwie starczy miejsca, by między głazy umieścić stopę muła. Często miejsce staje się niebezpieczne, możnaby razem z mułem stoczyć się w przepaść; wtedy zsiada się i idzie pieszo. Gdzieindziej wystające głazy kamienne grożą złamaniem nogi jeźdźcowi, gdyby muł się potknął. Nasza międzynarodowa karawana liczy około 40 osób, drugie tyle agojatów. Karawana ciągnie długim węzłem. Miejscami droga wiję się, odpowiednio do załomów góry. Wtedy na zakręcie początek karawany schował się już za skały, podczas gdy końca jeszcze nie widać, bo jeszcze nie wynurzył się z poza innej skały. W tej chwili jesteśmy w połowie wysokości niebotycznej ściany północnej wąwozu. Z dołu, z zawrotnej przepaści, dochodzi szum potoku, który przerzyna wąwóz od początku do końca, czołgając się chwilami pod głazami. Droga, którą się posuwamy, ciągną od wieków zawodowi agojaci, wiozący z Messenii do Lakonii wino i oliwę. Tak działo się za czasów Pausaniasa, tak dzieje się i dzisiaj.

Co za nieocenione stworzenia te muły! Jeżeli gdzieś ścieżka rozgałęzia się na dwie odnogi, muł staje, zastawia się przez chwilę i z dwu dróg na pewno wybierze lepszą. Gdzie miejsce mniej bezpieczne, zwalnia kroku. Do wypraw męczących i trudnych jak nasza mieszkańcy tutajsi wolą zawsze używać mułów niż koni. Nie zapomnę nigdy rozsądku i zręczności mego muła, której dał do-

wód kilka dni przedtem, w Arkadyi. Dalszą drogę zasłaniały drzewa. Muł wszedł na wązki grzebień skalny. Nagle grzebień urywał się i spadał prawie stromo kilka metrów w dół. Wyjścia nie było. Z lewej i prawej strony zbocze było strome, w tył cofnąć się niepodobna, bo grzebień był wąziutki. Muł stanął i zastanawiał się, co uczynić. Nie pozostawało nic innego jak skok z stromej skały. Byłem przygotowany na to, że wyjdę z tego położenia z złamaną nogą lub ręką. Tymczasem bystre oko muła odkryło na spadzistej ścianie pod nami wystający kawałek kamienia. Postawił na nim nogę, o jakie półtora metra niżej znalazło się znowu miejsce, o które mógł zahaczyć kopytem, jeszcze jeden skok i szczęśliwie, cało stałem na równej ziemi. To też słusznie zupełnie agojata poucza: „W trudnych miejscach zostaw mułowi zupełną swobodę a on najlepsze znajdzie wyjście z trudności“. Lud grecki jeszcze dziś, jak przed dwoma tysiącami lat, mówi do każdego: „ty“. Zachwycający stan pierwotności, nigdzie gdzieindziej w Europie niezachowany! W ogóle tak to przyjemnie na Południu stwierdzać w obcowaniu z ludźmi rysy, które znało się z ksiązek.

Z mułami, jak w ogóle ze zwierzętami, Grek obchodzi się dobrze, nie tak jak Hiszpan. Wyższość cywilizacji greckiej!

Jesteśmy już o trzy godziny drogi od Trypi. Wjeżdżamy na znaczną wyniosłość górską, tak, że szum potoku z dołu wąwozu głucho tylko dochodzi do ucha. Wąwóz się rozszerza. Do skały przyczepione jak gniazdo skromne chani Krenitsa — oczywiście słowiańska „krynica“ — zaprasza do wypoczynku, który należy się zwłaszcza zmęczonym mułom. Nam wystarcza filiżanka niezrównanej tureckiej czarnej kawy, o której może mieć pojęcie tylko ten, kto ją pił na Południu.

Z wzniesienia piękny widok na nagie szczyty Tajgetu. Na jednym z nich znaleziono przed laty starożytny

kamień, wskazujący granicę między Lakonią a Messenią. Od południa sterczy dumnie najwyższy szczyt Tajgetu, Góra św. Eliasza (2409 m.).

Ruszamy dalej. Przebyliśmy już właściwy wąwóz Langada. Jazda przezeń trwała trzy godziny. Droga zniża się w dół. Wąwóz rozszerza się ponownie. Zjeżdżamy na jego dno. Zieleń ogromnych, cienistych platanów mile orzeźwia oko po kilkogodzinnym widoku szarych, nagich skał. Wśród drzew kryje się chani. Obok niego tryska źródło. W cieniu rozłożystych platanów karawana zasiada do skromnego obiadu i krótkiego wypoczynku. Ponownie ruszamy dalej. Droga zaczyna się zwolna wznosić w górę. Wjeżdżamy w las szpilkowy. Mijamy jakiś kościółek. Jeszcze chwila jazdy i jesteśmy na przełęczy. Otwiera się przed nami widok morza daleko na zachodzie. To stare Pylos, ojczyzna mądrego Nestora. W tej chwili ledwie jest widoczne, tak ginie w białych



W wąwozie Langada.

oparach południowego słońca, nie pozwalających rozróżnić, gdzie się kończy ląd a zaczyna morze. Możemy teraz lepiej zrozumieć uczucia towarzyszy Xenofonta, kiedy im po długim widoku dzikich gór ukazał się w oddali błękit morza.

Tutaj zdarza mi się mała przygoda. Muł mój, widocznie zmęczony wielogodziną jazdą, zobaczywszy cieniste świerki, dał susa pod najbliższy z nich, nie troszcząc się o to, że konary jego zwisają tak nisko, że ja nie zmieszczę się pod nie. Ażeby uniknąć podrapania oblicza, kładę się szybko na grzbiecie muła. Ale upór muła jest znany. Okładam jego boki, szarpię w tył prymitywne cugle, wszystko nic nie pomaga. Muł zajmując wygodną dla siebie pozycję, nie myśli ani iść naprzód ani cofać się wstecz. Dopiero pomoc nadbiegającego agojaty uwalnia mię z położenia, przypominającego Absalonowe.

Na lewo, równie jak przed nami, widać w bielejącej dali morze i jakieś miasto. To cel naszej podróży, Kalamata. Wprost przed nami pełno wysokich wzgórz pokrytych zielenią i wąwozów górskich. Teren zniża się powoli terasami w stronę morza. O ile Tajget w stronę Sparty spada stromo, o tyle ku Messenii chyli się powoli terasami.

Zjeżdżamy w inny wąwóz, którego dołem biegnie potok. Na dnie wąwozu rozłożyła się wśród gajów oliwnych miła wioszczyna, Lada. Przejeżdżamy wąwóz napoprzek i zaczynamy po drugim jego boku ponownie drapać się w górę. Słońce południowe dopieka niemiłosiernie. Promienie jego odbijają się od nagich skał i rażą oczy a palą skórę. Droga prowadzi spadzistem zboczem wysokiej góry, w połowie wysokości tego zbocza. Dołem zieleje przepaść. Zbocze skaliste, nagie. Jedziemy nie drogą, ale ścieżką, którą iść potrafi tylko muł. Ścieżka pochyła się na prawo, tak, że obie prawe nogi muła idą niżej od lewych i każdej chwili grozi runięcie w przepaść

razem z mułem. Wystarczy jedno potknięcie muła. A zatrzymać się po runięciu nie byłoby na czym, bo ściana stacza się w dół gładka, naga, bez najmniejszego krzaczków. Niektórzy z uczestników jazdy zamykają oczy i jadą, powierzając życie w zupełności mułowi. Można by zejść z muła i iść pieszo, to byłoby bezpieczniejsze, ale nikt tego nie robi, bo nie pozwala na to zmęczenie siedmiodzinnej jazdy wierzchem i żar, który jakby roztopiony do białości metal leje się na nas z nieba bez chmur. Powietrze rozpalone drga jak przy pożarze. Po prawej ręce sinieje otchłań jakiegoś wąwozu, którego dna nie widać wcale; poza nim ciągnie się szara ściana wysokiej góry. Po lewej ręce, nad głowami, sterczy w ogromną wysokość pochyła ściana zbocza, wzdłuż którego jedziemy. Prócz tych dwu ścian szarych, nagich i ciemnej przepaści w dole widzimy nad sobą tylko jaśniejące białością niebo. Nagle zasłania nam drogę wysokok góry. Droga załamuje się, za wysokiem nowa przepaść, znowu zamknięta na prawo ścianą pionową, na lewo pochyłą. Znużone muły krocą już tylko noga za nogą. Żar wysusza gardło, pali głowę i całe ciało. Rozmowy umilkły dawno. Zboczem ciągnie jakby karawana niemych cieniów.

Ale oto wjeżdżamy na step, pokryty kwieciem i trawą. Muły zanurzają się w trawie do połowy. Zieleń przynosi nieco orzeźwienia. Step to wśród gór, na wysokiem płaskowzgórzu. Powoli zaczyna się obniżać, kończy się i jesteśmy w nowej wiosce. Na lewo, w czarującym położeniu, białe mury klasztoru. Kościół chrześcijański zajął tu dawne siedziby Artemidy. Okolica nosiła w starożytności nazwę Denthelias. O obszar ten toczyły się wiekowe spory między Lakonią a Messenią. Rzymianie rozstrzygnęli je na korzyść Messenii.

Nareszcie skończyły się góry i wjechaliśmy w krainę pagórków. Tu już pojawiają się ślady ręki ludzkiej. Zbocza pagórków zamieniono w pola uprawne. Przed nami

roztacza się wspaniały widok na rozległą równinę messeńską. Jeżeli Peloponez jest najpiękniejszą częścią Grecyi, Messenia była jego krainą najżyźniejszą. Ta najbogatsza kraina miała najmniej sławne dzieje pomiędzy krajami Peloponezu. Jak okiem sięgnąć, jeden wielki ogród, pełen drzew oliwnych, granatowych, cytrynowych, figowych i morwowych. Nic dziwnego, że Dorowie, którzy zajęli najpiękniejszą część Grecyi, tyle lat walczyli o tę rozkoszną równinę. Zwycięzcy zniewieścili tu jednak pod wpływem dobrobytu.

Drogą, którą jedziemy, szedł przed wiekami Telemach do Sparty, do króla Menelaosa.

Wjeżdżamy w łożysko starożytnego Nedonu, który wpada pod Kalamatą do zatoki messeńskiej. Przejeżdżamy teraz przez bogate, zielone wioski. Pagórki porośnięte drzewami ciągną się wzdłuż drogi, pokazuje się jakaś góra i nagle z za niej wynurzają się kamienne domy Kalamaty. Po skwarze i dziewięciogodzinnej jeździe przez Tajget, dającej wrażenia proste, ale niezmiernie silne, odświeża nas chłodny powiew, płynący od szafirowych fal morza.

Bassai (Phigaleia).

Muły nasze drapia się od kilku godzin po kamiennych ścieżkach górskich Arkadyi, wśród zwałów skał i usypisk. Z rzadka tylko ukaże się potężny pień dębu, zresztą same karłowate krzaki pełzają po zboczach góry a biedna, skąpa trawa, smagana przez wiatry i palona przez słońce, czepia się tych rzadkich miejsc, w których znajdzie nieco ziemi. Dzień jest pochmurny. Nic dziwnego, jesteśmy wśród gór, które chmury zawsze Kochają. Chwilami spotykamy stada kóz, prześlicznych kóz greckich, o rozumnym a ciekawym wyrazie oczu i złotawym włosie. Nasze kozy wydają się w porównaniu z niemi rasą zwyrodniałą. Kozy przestają jeść i przyglądają się nam z interesem.

Muły wchodzą na niewielką płaszczyznę i nagle oczy nasze uderza nieoczekiwany widok. Przed nami rysuje się na tle nieba ogromna świątynia. Nie jakieś szczątki i gruzy, ale świątynia wspaniale zachowana, prawie tak dobrze jak ateńskie Tezejon. Jej kolumny i cella mają ciepły, złotawy kolor. To świątynia Apollina w Bassai, wzniesiona przez sąsiednich Figalejczyków na podziękowanie bogu za ochronienie miasta od zarazy. Jeżeli gdzie można było dziękować bóstwu za zdrowie, to tu, wśród szczytów i wąwozów górskich, gdzie siedzibę swą ma zdrowionośny powiew wiatru. A twórcą tej wspa-

niałej świątyni, wzniesionej przez małą miejscinę, był największy wówczas architekt Grecyi, twórca ateńskiego Partenonu, Iktinos.

Nigdzie może w Grecyi nie jest tak widocznem jak tutaj, ile Grecy posiadali poczucia poezyi i zmysłu dla malowniczości i piękna krajobrazu. Chyba świątynia w Eginie mogłaby może rywalizować z figalejską, ale figalejska wrzyna się więcej w pamięć i ma położenie więcej niezwykle. Wyobraźcie sobie dziką, poszarpaną okolicę górską. Ze wszystkich stron wierzchołki nagie, skaliste, poprzerynane ciemnymi wąwozami, których zbocza kryją lasy a dno wypełniają potoki. Lasy stąd wydają się ciemno-fioletowe. Wśród tej dzikiej, górskiej samotni, zdala od gwaru ludzkiego strzela w górę świątynia i spogląda na przeświecające gdzieś pomiędzy szczyty błękitne fale morza Jońskiego. W dali rysuje się zielona równina messeńska, mile odbijająca od dzikiej nagości skał. W tej chwili oświetlona jest promieniami słonecznymi. Zdala dostrzegamy płaski szczyt góry Itome, gdzie w twierdzy Messeńczycy tyle lat odpierali ataki Spartan na ich wolność. Z innej strony ciągnie się łańcuch gór Lykaion, uwieczniony w mitach, którego szczyty przebiegała nieraz stopa bogów. Jednym z niezliczonych wąwozów — sama nazwa Bassai nie znaczy nic innego jak „wąwóz górski“ — płyną nurty górskiego potoku Nedy.

Na tak niezwykle miejscu wzniesli Grecy świątynię. W najbliższym sąsiedztwie nie było miasta ani wsi. Składający ofiarę z trudem musieli wdzierać się na odległą górę. Zresztą i samo wzniesienie świątyni daleko łatwiejsze byłoby w równinie niż na tej wysokości, gdzie trzeba było mozolnie transportować ciężki materiał budowlany. Jeżeli pomimo tego zbudowano świątynię tutaj, to wybór miejsca przypisać należy jedynie właściwemu Grekom zmysłowi piękna.

Fryz ponad architrawem celli przedstawiał sceny wojenne: sceny walk między Amazonkami a Grekami i walk między Kentaurami a Lapitami. Dziwnie szczęśliwie dostrajały się te sceny wojownicze do dzikiego charakteru okolicy. Czyżby łagodne, pogodne obrazy odpowiednio były do tych poszarpanych grzbietów i przepaścistych wąwozów?

Świątynia w Bassai była w starożytności po świątyni w Tegei najwięcej podziwiana z peloponeskich. Mówi to dużo, bo świątyni Peloponez miał bez liku. Wszak do ich liczby należały świątynie olimpijskie, Heraion w Argos, świątynia w Lykosura i mnóstwo innych. Ze starożytnych o świątyni w Bassai nikt prawie nie wspomina. Rzecz to tylko na pozór dziwna. Pasterska Arkadya nie była krajem literatów. Gdyby nie Pausanias, nicbyśmy o naszej świątyni nie wiedzieli.

Z czasem przybytek boga legł częściowo w gruzach. Obaliło ściany jego celi i marmurowy dach trzęsienie ziemi. Tylko kolumnada wznosiła się i po trzęsieniu aż do naszych czasów dumnie w górę. W tym stanie widziałem świątynię w czasie mej bytności. W ostatnich latach odbudowano podobno napowrót celę z rozsypanych bloków. Wieki całe wiedzieli o świątyni prócz orłów tylko pasterze górscy, zawadzający z trzodami kóz o te miejsca. Dopiero w 18. wieku zabłądził tu pewien architekt francuski i podał światu wiadomość o górskim przybytku bogów. I dziś stopa turysty dotyka rzadko tych miejsc. Grecya cała a tem samem i najpiękniejsza jej część, Peloponez, nie stała się dotąd modnym krajem turystów. Zbyt wiele poświęcić trzeba wygod, zbyt duże ponieść ofiary, chcąc podróżować po Grecyi, a już prawdziwego zaparcia wymaga zapuszczenie się w odległe zakątki Arkadyi czy Lakonii. Dla nielicznych miłośników Grecyi, nie lękających się tych ofiar, ma Grecya z pewnością przez to dzisiaj więcej uroku

niż go będzie miała kiedyś, kiedy tłumy turystów mącić
będą ciszę ruin.

Choć świątynia obdarta dziś jest z marmurowego
posągu boga i przepięknego fryzu, który zdobi muzeum
brytyjskie w Londynie, budzi podziw tych, którym danem
było dotrzeć w te dzikie górskie ustronia.

Delfy.

Prześliczny wiosenny ranek wywabił nas wcześniej na pokład. Statek skręca w bok szerokiej w tem miejscu zatoki korynckiej; wpływamy w niewielką zatokę kryzejską czyli kirrejską. Gdzie oko sięgnie, od północy, od południa, góry. Od zachodu i od wschodu rozciągał się aż do tej chwili jasny szafir zatoki korynckiej. Obecnie, w miarę jak wpływamy w otoczoną górami małą zatokę, zatoka koryncka zaczyna się od zachodu i wschodu ścieśniać, w końcu widać z niej tylko szafirową smugę. Ostatni rzut oka na wysokie góry Peloponezu: wznoszą się one terasami od zatoki w głąb lądu ku Arkadyi. W dali widać ośnieżoną sławną Kyllene, wysokości naszych szczytów tatrzańskich. Nie wiele ustępuje jej wysokością wierzchołek Erymantu, widoczny jeszcze dalej w głębi. Samym dołem, ponad wody zatoki korynckiej, biegnie wąski pas ziemi urodzajnej, zieleniący się już na dobre, choć to dopiero koniec kwietnia. Od zieleni odrzynają się białe domy wiosek.

Ale czas oderwać oko od zatoki, która tak oczarowała Wojciecha Dziędużyckiego, a zwrócić się ku północy. Mnie zatoka koryncka stanowczo mniej się podoba od niezrównanej zatoki sarońskiej. Gdyby Grecya była tyle zwiedzana co Włochy, zatoka sarońska nie ustępowałaby w sławie neapolitańskiej. Trzeba ją widzieć,

gdy się jedzie koleją z Koryntu do Aten w słoneczny dzień wiosenny. Co za cudowna wtedy gra odcieni lazurowych na spokojnych wodach zatoki, ze złotawymi odbłyskami słońca po lekko zmarszczonych falach, od których odbija kredowa białość skał nadbrzeżnych. Brak tu stożka Wezuwiusza, ale za to są wspomnienia historyczne, jakich nie ma okolica Neapolu: miraże Salaminy — a w głębokiej oddali rysują się kontury ateńskiej Akropolu.

Ale wróćmy do zatoki koryńskiej. Rzucamy okiem przed siebie, na północ. Śnieżysty Parnas chowa się coraz bardziej, przed nami leżą wiankiem białe domki portu Itea. Za nim ciągnie się równina. Lasy oliwne nadają jej szary, znużony kolor. W głębi, na lewo, kryje się w nich napół Salona. Tłem jej wzgórze, na którym niegdyś sterczał zamek lokryjskiej Amfissy. Z tym kawałkiem ziemi wiązały się wspomnienia ostatnich chwil wolnej Grecji. W czasie trzeciej wojny świętej powierzono Filipowi ukaranie Amfissejczyków. Ten starożytny Fryderyk II. spełnił polecenie tak gruntownie, że razem z mieszkańcami lokryjskiego miasta zagarnął pod swą władzę całą resztę Grecji. Na prawo ciągnie się sznur domków jakiejś wioszczyny. Drobną tą wioską ma starą genealogią. Niegdyś wznosiło się tu miasto Kirra, port potężnych Kryzejczyków, osiedlonych na wyżynach prowadzących do Delf.

Ale oto jesteśmy w porcie. Wylądowujemy. Na brzegu czeka na nas gromada mułów i koni z agojatami o białych fustanelach. Przed nami liche kawiarnie i gospody dla majtków. Wnet siedzimy na mułach i ruszamy w kierunku północnym niezłą drogą przez lasy oliwne. To sławna równina kryzejska, z powodu swej żyzności niegdyś jabłko niezgody między miastami okolicznymi. Najpierw w rękę Krisy, przeszła potem w posiadanie świątyni delfickiej, później bywała łupem Fokijczyków.

Jeszcze raz rzucam okiem poza siebie. W głębi ośnieżone szczyty gór peloponeskich; pomiędzy nimi a mną szmat szafirowej wody, bledniejącej teraz w słońcu. Lasy oliwne, przez które jedziemy, ustępują chwilami miejsca winnicom. Winnice o tej porze jeszcze mało zielone, z pośród krzewów winnych przegląda szarawy kolor ziemi, niedawno starannie skopanej.

Po godzinie jazdy opuszczamy równinę, którą dotąd jechaliśmy ku północy, i zwracamy się na wschód. Droga zaczyna się wznosić w górę. Już rzadziej widzimy koślawe pnie i gałęzie drzew oliwnych, wchodzimy na skaliste, spalone wzgórza. Tą drogą, co my dziś, dążyli tu w starożytności pobożni pielgrzymi z całego świata greckiego; tak samo, gdy muły ich zwalniały kroku, rzucali okiem na ginące w oddali wody zatoki i korowód gór o poszarpanych liniach. Droga staje się gorszą w miarę, jak się wznosi. Już teraz z wysokości lepiej widać lazurową zatokę, na którą słońce rozlewa swe blaski. Niebo bez chmurki, w stronie przeciwnej słońca prawie tak ciemno-szafirowe jak morze. Zaczyna się upał, choć godzina wczesna. Błada zieleń lasów oliwnych ustąpiła miejsca złotawo-szaremu kolorowi skał.

Koło drogi miejscami skrawki skąpej roślinności: mięty w palących promieniach słońca wydają zapach odurzający. Z mięt wynurzają się złote główki drobnych kwiatów. W tej krainie słońca kolor kwiatów jest daleko silniejszym, soczystszym niż u nas. A może to tylko cudownie przejrzyste powietrze greckie dodaje mu tego blasku. W każdym razie nie widziałem w życiu maków polnych o tak wspaniałej, głęboko nasyconej purpurze, jak na ziemi greckiej! Te łąki maków, jakie się spotyka w drodze na akropolę koryncką, wśród łąków zboża, zostaną mi całe życie w pamięci. Był to prawdziwy zalew barw.

Jesteśmy w połowie drogi. Na skalistym wzgórzu wznosi się okazała wieś Chryso. Wygląda na małe mia-

sto. Domy jej w promieniach światła, które leje się z góry strugami, aż rażą oczy olśniewającą białością murów. Na tem miejscu wznosiło się niegdyś miasto Krisa, pani tej urodzajnej równiny. Mieszkańcy jego poczęli jednak za czasów Solona ograbiał pielgrzymów, dążących do Delf. A było co grabić, bo pobożni nie szli do siedziby wielkiego boga z próżnemi rękami. Muły ich wiozły anatemy ze złota i srebra a i pielgrzymi na daleką drogę zaopatrzeni byli w grosz. Ateny do spółki z Sikyonem postanowiły położyć koniec tym rozbojom. Rozpoczęły wojnę świętą z Kryzejczykami. Wojna skończyła się zwycięstwem dobrej sprawy. Zwycięzcy postanowili przywrócić spokój w sposób radykalny: by zapewnić swobodne pielgrzymowanie na przyszłość, zburzyli Krisę do gruntu. Okazali jednak tyle powściągliwości, że nie rozdzielili między siebie żyznej równiny kryzejskiej, lecz ofiarowali ją w darze bogu, robiąc z niej posiadłość świątyni.

Obok drogi, którą jedziemy, widać jeszcze ślady drogi starożytnej. Na ten widok stają przed okiem jakby żywe rzesze pobożnych, które tu ciągnęły niegdyś codziennie. Wielu z nich zbliżało się do Delf z bijącym sercem, bo tutaj rozstrzygały się nieraz najzawilsze i najważniejsze pytania z ich życia. Drogę ożywiały wtedy gwary rozmów i nawoływania mułów. A nie grecki tylko język brzmiał po tych miejscach. Nierzadko odzywały się tu i dźwięki barbarzyńskie, bo sława wyroczni ściągała i cudzoziemców. Prócz pielgrzymów, płynących z najdalszych stron Grecji z pokłonem Apollinowi, podążały tu przed igrzyskami pityjskimi i tłumy ciekawych, a dwa razy w roku spieszyli hieromnemonowie z różnych państw greckich na zebranie amfiktyonii. Nierzadko zresztą sunęły temi drogami i zbrojne szeregi, jużto wrogie świątyni, już niosące jej pomoc. Nawet dzikich Celców widziały przecież Delfy na swej ziemi. Później zjawiała się tu i zastępy zbrojnych Rzymian.

Dziś drogi opustoszały i ucichły. Podróżny rzadko

tylko mąci spokój świerszczów polnych, zawodzących swą muzykę z takim hałasem, że aż uszy bołą.

Grzbiet skalny, po którym posuwamy się naprzód, jest poszarpany, skutkiem tego droga raz się wznosi, to znowu zniża.

Pokazują się nowiutkie domki wioski Kastri, przeniesionej tu z dawnej jej siedziby na ruinach Delf, kiedy przystąpiono do odkopywań.

W górze ponad drogą na grzbiecie skalnym, biegnącym ku południowi, szarzeją resztki starych obwarowań. Tutaj zapewne bronił się Philomelos w r. 355 przed atakami Teban. Droga do Delf daje nam ciągłą sposobność do konstatowania partykularyzmu greckiego, owego partykularyzmu, który stał się nieszczęściem Grecyi, choć szczęściem cywilizacyi.

W sąsiedztwie grzbietu skalnego pokazują miejsce, gdzie blisko w dwa wieki po Philomelosie skrytobójcy króla Perseusa zasadzili się na życie Eumenesa, króla Pergamu. W tym kraju każda niemal piędź ziemi związana jest z wspomnieniami dziejowemi.

Stanęliśmy na najwyższym punkcie grzbietu górskiego. Ostatni rzut oka wstecz. Z szafirowej zatoki widać teraz więcej niż przedtem, ale zatoka się zmniejszyła. Na tle szarych, nagich skał nabiera szafir tych głębokich tonów, które właściwe są Morzu Śródziemnemu, a które tak nieporównanie oddawał Siemiradzki. Na niebie zjawiają się lekkie obłoki. Nie znam piękniejszej rzeczy na świecie nad puszyste białe obłoczki na tle szafiru nieba. Na cześć ich wyśpiewał hymn już Arystofanes. Słońce zalewa wszystko potokami jaskrawego światła. W tem świetle wszystkie linie rysują się tak wyraźnie, tak twardo, że ma się prawie uczucie, iż oko dotyka fizycznie linii. Wyrzistością swą linie te prawie rażą oko człowieka pólnocy.

Nagle odsłania się przed nami dolina Delf, którą dotąd zakrywał grzbiet górski. Opada lekko ku wschodo-



Delfy (okręg święty, w głębi Fajdryady).

wi, gubi się gdzieś w wielkiej oddali. Po lewej ręce ciągnie się grzbiet podnóży Parnasu, zasłaniający widok ku północy. Na prawo, od południa, terasa, na której grzbiecie jesteśmy, opada w kilkaset metrów głęboki wąwóz. Dół jego tworzy łożysko rzeki Pleistos. Dolina Pleistosu ciągnie się ku zachodowi aż do niziny, którą jechaliśmy od portu, i wpada w nią. Rzadko jednak koryto wypełniają wody; najczęściej dno potoku jest suche. Rzecz to w Grecyi prawie powszechna. Rozkoszny szmer strumyka w cieniu platanów, pamiętny miłośnikom Platona z niezrównanego opisu w Fedrusie, był i za czasów Sokratesa czemś rzadkiem dla mieszkańców Grecyi. Pleistos nosi nawet w ustach ludu dziś nazwę „suchej rzeki“ (Xeropotami).

Muły posuwają się kilkanaście kroków naprzód i nagle — cóż to widzę przed sobą? Wrażenie tak niespodziewane i tak silne, że szarpnięciem postronka osadzam mimowoli muła na miejscu.

Przedemną strzelają na kilkaset metrów w niebo dwie potężne pionowe ściany skalne. To Fajdryady. Jesteśmy w Delfach! Olbrzymie ściany wapienne o prześlicznym różowawym kolorze, przypominającym nieco Dolomity południowego Tyrolu a jeszcze więcej Sierre Nevadę hiszpańską. Są tak równe i proste, tak zwarte i silne, tak się gubią wysoko, wysoko w przejrzystym przestworzu powietrznem, że przygniatają człowieka zupełnie; człowiek tak wobec nich ginie, że oko nie widzi nic przed sobą tylko te dwie ściany. Tak więc wyglądają Delfy! Nigdy sobie ich tak nie wyobrażałem. Jeżeli gdzie, to tu pojęcia moje, wyrobione na podstawie książek, doznają zupełnej korektywy. Ateńską Akropolę ujrzałem prawie taką, jaką ją sobie wyobrażałem. Tu coś zupełnie innego! Na widok tego wspaniałego a dzikiego krajobrazu czuję jakiś dreszcz uszanowania. Teraz rozumiem, dlaczego to miejsce stało się świętem. Ono się



Delfy (widok ku płd.-wschodowi).

narzuciło ludziom jako święte. Takie miejsce kazało zdejmować sandały.

Święty okrąg i miasto leżały na wąskiej a spadzistej terasie, otoczonej z czterech stron górami. Od północy i wschodu zamykały je Fajdryady. Od zachodu wznosił się wał wzgórz a od południa poza korytem Plejstosu biegnie również pasmo gór. Czworobok otwierał się tylko od strony południowo-wschodniej na rozległą dolinę, ciągnącą się ku wschodowi. Wzrok biegnie w tę stronę daleko. Co za cudowny widok! Sam ten widok musiał działać na fantazyę. W dolinie błyszczą jakieś białe miasta czy wioski, niewyraźne, bo leżą daleko od nas. W południowej porze gubią się w lekkich oparach. Oko leci doliną aż gdzieś w niziny Beocyi. Ale w tej chwili nie czuje się potrzeby analizować wrażeń, człowiek rozpada się niejako w tych silnych uczuciach, na które składa się i nadzwyczajne położenie tego miejsca i przypomnienie, na jakim miejscu się stoi. Zwolna ściany skalne delfickie odrywają oko od doliny, a raczej dolin, bo pomiędzy pasemkami górskimi rozróżniamy teraz ich więcej. Oko wraca do tych potężnych ścian i spostrzegamy teraz między niemi wąwóz, przecinający je od szczytu do stóp. Biegnie ku nam gdzieś od północy a niesie świeży powiew, chłodzący rozgrzane od skał powietrze. Zimą a w lecie po ulewach spada tym wąwozem z góry kaskadami strumień. U stóp wąwozu, ocienionych dwoma platanami o prześlicznej w tej porze zieleni, tryska źródło. Z uszanowaniem zbliżaj się, wędrowcze, do tej krynicy. To Kastalia, boska Kastalia, której wody darzące natchnieniem opiewali poeci. Ale i zwykły Grek z czcią zbliżał się do krynicy o lodowatej, kryształowej wodzie, bo nie mógł wstąpić w progi boga, dopóki się w niej nie obmył. Czystymi na ciele i sercu chciał widzieć bóg tych, którzy się zjawiali przed jego oblicze. Woda wypływająca z źródła tworzyła tu wtedy wielki basen. Już w starożytności w miejscu,



Źródło Kastalia w Delfach.

gdzie dziś oba platany o białawych pniach rozciągają cieniodajne konary, rósł olbrzymi platan. Mówiono, że zasadził go Agamemnon.

A teraz od Hyampej, — tak się nazywała w starożytności różowa ściana wschodnia, dziś zwie się Phlembukos, — odwraca się oko i szuka dawnej świątyni. Domyślamy się, że musi się ona znajdować na wielkim polu ruin, podobnem do cmentarzyska, obok którego przejeżdżaliśmy niedawno. Święty okrąg obwiedziony był w starożytności murem. Miasto Delfy leżało na południe od niego. W ogóle Delfy rozciągały się amfiteatralnie terasami na tle ścian Fajdryad. Okrąg święty leży dziś na lewo od drogi, którą się przybywa do Delf, miasto leżało na prawo.

Nim się udamy do świętego okręgu, rzućmy okiem

na część Delf, która ciągnęła się na wschód od niego, bliżej Kastalii. Wody Kastalii spływają głębokim wąwozem ku południowi w stronę rzeki Pleistos. Wąwóz ten jest dalszym ciągiem wąwozu, przecinającego Faidryady, i jak tamten ściany skalne, tak ten przerzyna terasę, na której leżą Delfy, spadając ku dolinie Pleistosu. Po wschodniej stronie wąwozu, pod ścianą Hyampej, leży dziś klasztor grecki. Zajmuje on miejsce starożytnego gimnazjum. Jeszcze dalej na wschód wznosiła się niegdyś świątynia Ateny Pronaia, jak wiemy z Pausaniasa. Dziś zachowały się z niej jeszcze podmurowania. Tędy prowadzi droga do Arachowy, słowiańskiej Orzechowej. — W wąwozie kastalskim, w głębi, tryska źródło, zwane w starożytności Sybaris, dziś — źródłem Zaleskiej. Na przeciwko niego, w jaskini, przebywała według podania starożytnego krwiożerca Lamia, potwór, domagający się ofiar ludzkich, jak tebański Sfinks.

Czas nam zawrócić na zachód, by obejrzeć miejsca, gdzie w starożytności wznosiła się świątynia boga delfickiego. Dziś jest to pole ruin, w którym oryentować się może tylko oko zawodowego badacza. Trzeba przywołać w pomoc wyobraźnię, by odtworzyć w duszy obraz dawnej wspaniałości miejsca. Gdzie niegdyś roily się tłumy pobożnych, gdzie przesuwali się poważni kapłani i szeregi służby, tam dziś cisza głucha. Czasami tylko zakłóca ją na krótko głosy turystów.

Przekroczywszy szczątki muru, który otaczał święty okrąg, podążamy naprzód starożytną drogą, wznoszącą się zwolna w górę. Tędy wstępował niegdyś i pielgrzym. Napotykał tu po lewej i prawej ręce szereg „skarbców“ rozmaitych miast greckich, to jest kaplic, w których miasta przechowywały wspaniałe dary, składane bogu w ofierze. Pomiędzy skarbcami wznosił się las posągów bronzowych i marmurowych, przedstawiających pieszych i konnych zwycięzców w igrzyskach. O ich liczbie daje pojęcie wiadomość, że Nero uwięził ich stąd 500. A była to

tylko mała część skarbów, bo za Pliniusza wznosiło się ich jeszcze 3000. Delfy były największem w świecie starożytnym muzeum sztuki.

Zbliżyliśmy się do świątyni. Leżała ona na ogromnem podmurowaniu, przeszło 170 m. długiem. Wschodnia strona podmurowania pokryta była napisami. Czytało się tu uchwały amfiktyonów i miasta Delf, spisy zwycięzców a zwłaszcza tysiące dokumentów, ogłaszających wyzwolenie niewolników. Brzegiem południowym podmurowania biegł las posągów, widoczny już zdaleka, przy zbliżaniu się do świątyni. Niestety, świątynia nie zachowała się. O jej wspaniałości dają nam wyobrażenie tylko opisy starożytne. Zbudowano ją w znacznej części ze składek całej Grecyi. Nawet król Egiptu Amasis przyczynił się do jej powstania datkiem.

Spieszymy z ciekawością na miejsce, gdzie było starożytne adyton. Nad szczeliną skalną wznosił się tu złoty trójnóg Pityi. Z szczeliny miały się wydobywać odurzające wyziewy. Przypuszczenie, że znajdują się ślady jakichś źródeł siarczanych, nie sprawdziło się. Może częste w tych stronach trzęsienia ziemi skierowały wody podziemne w inną stronę.

Za świątynią oglądaliśmy szczątki teatru starożytnego, a potem spieszymy w górę, na najwyższy punkt Delf. Widać tu odkopane niedawno stadyon starożytny, miejsce zapasów atletów podczas igrzysk.

Wdarłem się na wzgórze wznoszące się nad stadyonem w nadziei, że uda mi się zobaczyć ośnieżone wierzchołki Parnasu. Nadzieja okazała się zwodniczą. Odnoży górskie, ciągnące się między Parnasem a Delfami, zasłaniają zupełnie widok na Parnas. Wędrówka po niezmiernie bogatym muzeum tutejszem zawierającym głównie wykopaliska francuskie, zakończyła zwiedzanie świętego okręgu.

Już dawno w świecie starożytnym wzięło górę chrześcijaństwo, kiedy w Delfach jeszcze składano ofiary bogu

światła. Cesarz Teodozyusz położył pod koniec IV. wieku kultowi pogańskiemu kres. Zamknęły się podwoje świątyni przed czcicielami, wiatry rozwiały popioły ołtarza, opustoszały skarbce świętego okręgu. Dziś widzi się ten okręg tak opuszczonym, jak nim był w chwili, kiedy wygasł na zawsze ogień ofiarny przed świątynią. Widz dzisiejszy może się tu przenieść całkowicie w zamierzchłe wieki. Nie mącą mu nastroju żadne budowle późniejsze. Jest to wyższością nieocenioną krain greckich nad Italią, że mnóstwo w nich miejsc, gdzie dziś żyje się niezamąconem życiem czasów Platona. W Rzymie miejsce kultu starożytnego zajął kult chrześcijański. Widok kościołów chrześcijańskich na każdym kroku nie pozwala przenieść się niepodzielnie myślą w czasy Augusta. Życiem starorzymskiem można na ziemi włoskiej żyć w całej pełni w jednym chyba Pompei (o ile życie to można nazwać rzymskiem). W Grecyi takich miejsc pełno; w Delfach ani w Olimpii nie usadowił się kult chrześcijański na opuszczonych przez bogów siedzibach; nie widzi się go też dziś na ateńskiej Akropolu. Czystem życiem wieków dawnych żyć można i w Wielkiej Grecyi czy Sycylii: w Metaponcie, Selinuncie lub Segeście. Historyk i filolog a wreszcie każdy, kto znajduje rozkosz w cofnięciu na chwilę swego życia duchowego o lat setki czy tysiące wstecz, pojmie, co znaczy ta wyższość.

Z MIAST WIELKIEJ GRECYI.

Wrażenia Południa.—4.



Z miast Wielkiej Grecyi.

Cała Apulia od Brindisi do Tarentu jest jednym urodzajnym łanem i sadem. Pola pszenicy i bobu, który teraz, w pierwszych dniach kwietnia, bieli się już śnieżnym kwieciami, gaje oliwne, winnice pokrywają tę błogosławioną równinę. Tak było w starożytności, tak zostało dzisiaj. Na monetach Tarentu widać grono winne i liść winogrodu, na monetach Metapontu kłos pszeniczny. „Ille terrarum mihi praeter omnes angulus ridet“, śpiewał już Horacy, wysławiając długą wiosnę i łagodną zimę tych krain. Rozkoszny klimat, ziemia żyzna, bogactwa płynące z rolnictwa, handlu i przemysłu, sprawiały, że kraj ten należał do najszczęśliwszych krain greckich. Nic dziwnego, że już w najstarszych czasach osadnicy spartańscy wydarli dzikim Japygom wybrzeże i że później musieli o nie ciężkie staczać walki z sąsiednimi Lukanami. Wnet po zajęciu kraju przez Greków zakwitły tu żegluga, rybołówstwo, rolnictwo i chów owiec; wełnę tych owiec przez osłanianie ich pokrowcami umiano robić niezwykle delikatną. Żyły tu i żyją dotąd ślimaki purpuronośne; Grecy wyzyskali to w lot i pozakładali tu bogate przedzalnice i farbiarnie wełny. Miód tarencki stawiano na równi z hymettyjskim, jak się dowiadujemy z Horacego.

Tarent był największem i najbogatszem z miast wielkogreckich. Szczyt świetności osiągnął w IV. w. przed Chr.; na czele miasta stał wtedy matematyk i Pitagorejczyk Archytas. W ślad za dostatkami przyszło życie miękkie i zniewieściałe. Wyprawiano tyle uczt, ile było dni w roku. Już od rana widziało się podchmielonych. Mieszkańcy poczęli do obrony od barbarzyńców przyzywać obcych. W wojnie Hannibala z Rzymem Tarent stanął po stronie kartagińskiej, podobnie jak uczyniło wiele innych miast Wielkiej Grecyi. Rzymianie ukarali go za to po swojemu. 30,000 obywateli sprzedano w obczyznę jako niewolników. Podkopało to świetność miasta na zawsze. Ale ten straszny wpływ krwi nie zabił greckości, tak była ona w Tarencie żywotna. Jeszcze w dwa wieki później, za Augusta, Tarent jest miastem greckiem. Język rybaków tarenckich zawiera jeszcze dotąd wyrazy greckie, ale są to pozostałości kolonizacyi średniowiecznej. Rzymianie obalili niepodległość Tarentu, ale nie podkopali jego rozwoju ekonomicznego: przemysł i handel kwitł tu jeszcze i za cesarstwa. — Dopiero nowocześni barbarzyńcy: Saracenowie, zburzyli w X. w. miasto. Wskrzesił je jednak niedługo potem Nicefor Fokas.

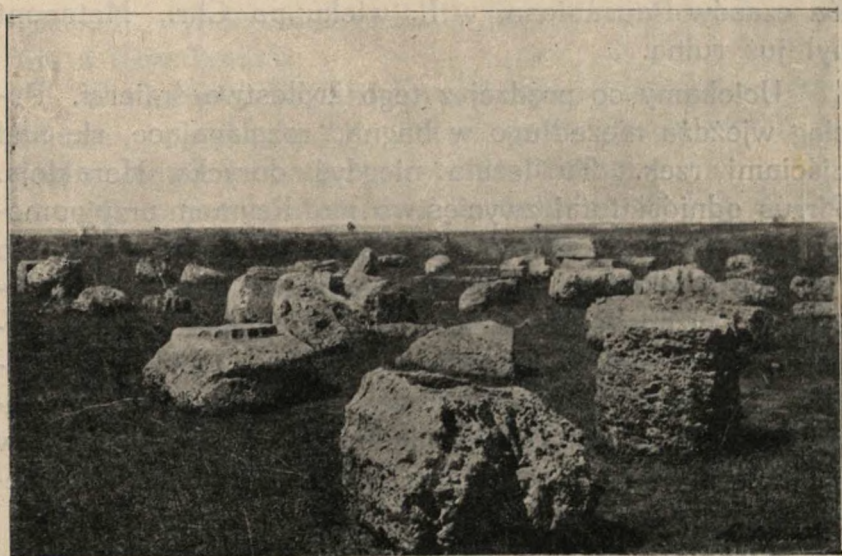
Dzisiejszy Tarent liczy około 80,000 mieszkańców i jest miastem handlowem. Żyzna równina apulska tutaj wysyła swą pszenicę i oliwę. Zabytków greckich czy rzymskich miłośnik starożytności znajdzie tu niewiele. Najpiękniejszą rzeczą pozostanie zawsze widok zatoki. Nie znam nic rozkoszniejszego na południu jak widok ciemnego lazuru morza, odbijającego w sobie śnieżnobiałe domy miasta. Tu można się nim upajać do woli.

Wyjeżdżając z Tarentu w stronę Sycylii, spostrzegamy zmianę krajobrazu. Kończą się żyzne łąny a zaczyna pusta, równa okolica. To kraina powolnej, czającej się śmierci. Malarya porywa tu od wieków nieprzeliczone ofiary. Zasadzone wzdłuż kolei eukaliptusy pouczają podróżnego, że okolica jest bagnista. W starożytności by-

ły to krainy żyzne i zdrowe. Później zaniedbano je, moczary i bagniska zajęły miejsce urodzajnych łąnów. *Nunc sunt solitudines*. Dzisiejsze Włochy nie troszczą się o południową część półwyspu.

Oto Metapont. Stacyjka kolejowa leży wśród pustych, bezdrzewnych pól. Nawet personal kolejowy bawi tu tylko za dnia; ostatnim pociągiem wieczornym odjeżdża w sąsiedztwo, uciekając od strasznej febry.

Wysiadamy, by obejrzeć szczątki miasta greckiego. Na tle beznadziejnie smutnej okolicy widać ruiny świątyni. Osioł niesie mnie w jej stronę; za przewodnika służy mały ragazzo. Powalone na ziemi leżą złomy doryckich kolumn świątyni, poświęconej niegdyś Apollinowi. W znacznym od niej oddaleniu, o godzinę jazdy, rysuje się na wieczornem niebie 15 kolumn drugiej, piękniejszej świątyni, również doryckiej. Oto i wszystko prawie, co zostało z wielkiego i rozległego niegdyś miasta greckiego. W nim zakończył życie wypędzony z Krotonu wielki Pitagoras. Nauka mędrca kwitła jednak długo



Równina metapontcka.



Świątynia grecka w Metaponcie.

i po jego śmierci. Tarent, Metapont, Kroton — to były jej siedliska. I Metapont, jak Tarent, wolał Hannibala niż Rzymian. Także i on opłacił to upadkiem. Już Ciceró [szukał w Metaponcie napróżno domu Pitagorasa. Za czasów Pausaniasa, w II. wieku po Chr., Metapont był już ruiną.

Uciekamy co prędzej z tego królestwa śmierci. Pociąg wjeżdża niezadługo w bagna, rozciągające się nad ujściami rzek. Tu leżała niegdyś dorycka Herakleja. Pirrus odniósł tutaj zwycięstwo nad Rzymem przy pomocy słoni. Pociąg wiję się ciągle ponad morzem. Ale oto i weselsza okolica, w głębi ukazują się góry. W starożytności wznosiło się w tem miejscu bogate miasto Sybaris, osławione ze zbytków i miękkiego życia mieszkańców. Legło w gruzach, zburzone przez mieszkańców sąsiedniego Krotonu. Bo partykularyzm tak wszedł w krew i kości Greków, że nawet na obczyźnie, wobec wspólnego wroga, nie mogli go przewyciężyć.

Niebawem znowu zaczynają się bagna, teraz w porze wiosennej pokryte bujną roślinnością. Jałowce, ja-

kieś rośliny pnące i kolczaste, mirty i mięty roztaczają odurzający, słodki zapach. W pobliżu wznosiło się niegdyś miasto Thurioi. Wśród weselszego krajobrazu dojeżdżamy do Cotrone, dawnego Krotonu, starej, wielkiej i bogatej kolonii achajskiej, przeciwniczki Sybarytów. Tutaj osiadł i założył swój związek Pitagoras. Przechadzka po mieście uczy, że po Grekach nie zostało tu niemal śladu. Ludność dzisiejsza ma takie same skromne potrzeby jak za czasów greckich. Kawałek chleba z cebulą lub cykoryą rano, talerz bobu, grochu lub makaronu, trochę sałaty lub seleru, czasami ryba, stanowią jej pożywienie. Ze wzgórza zamkowego roztacza się rozległy widok na zatokę i okolicę. Po prawej ręce widać w znacznym oddaleniu od Krotonu przylądek, wybiegający w morze. Jestto dawny przylądek Lakinion. Tutaj niegdyś wznosiła się sławna świątynia Hery lakińskiej. Była to najgłówniejsza świątynia na całe wybrzeża rozróżnej zatoki tarenckiej. Dziś sterczy z niej wszystkie jedna samotna kolumna dorycka. Na tym przylądku umieścił niegdyś Hannibal tablicę bronzową z napisem greckim, wymieniającym liczbę jego sił wojennych w wojnie z Rzymianami.

W niezbyt odległym Catanzaro, położonem więcej na uboczu, wśród gór, żyje dotąd jeszcze język grecki. I to jest szczątek kolonizacji średniowiecznej.

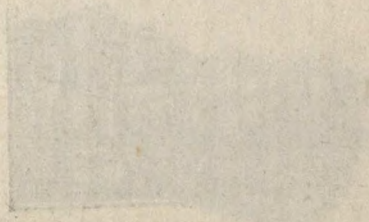
Mimo potoków słońca i lazurów morza leży dziś nad Wielką Grecyą melancholia, melancholia opuszczenia i melancholia wspomnień świetnej przeszłości.

SYCYLIA.



Taormina.

SYCYLIA



1881

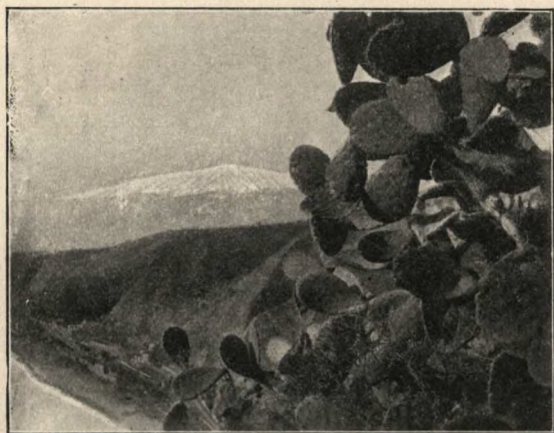
U krateru Etny.

Powóz minął ostatnie domy Katanii i wjechał pomiędzy długie, białe mury. Z za murów wyglądają kaktusy i winograd. Droga nierówna, pełna kurzu. Wszystko z obu stron: drzewa, zarośla, trawy pokryte grubą warstwą kurzu. Zapowiada się dzień letni niezwykle upalny. Na prawo co chwilę ukazuje się szafir morza, by zniknąć niebawem. Wjeżdżam w jakieś miasteczko, którego domy zbudowane z czarnej lawy. Z lawy wzniesiony i kościół, cały czarny, przedstawia dziwny widok.

Po półtrzechgodzinnej jeździe staję w Nicolosi. Stąd bierze się przewodnika i prowianty. Majestatyczny olbrzym spogląda na nas z oddali, dymiąc spokojnie. Jest godzina pierwsza po południu. W ostatniej chwili, kiedy mam godzić przewodnika, powstaje wątpliwość, czy wyprawa będzie w ogóle możliwa. Horyzont pokryły chmury a z nad morza wstają mgły. Capoguida twierdzi jednak, że



Aloesy.



Etna.

tak wygląda niebo co dnia i że rano następnego dnia powinno być ładne. Wobec tego decyduję się na wyprawę i o godzinie trzeciej siadamy z przewodnikiem na muły.

Przed nami Etna dymi spokojnie jak olbrzym pewny

swej siły. Na prawo błękitnieje gładka toń morza. Mijamy niewielkie domy miasteczka i kilka wил zamiejskich i podjeżdżamy pod Monti Rossi, dwie góry powstałe w epoce historycznej, w XVII. wieku, skutkiem najstraszniejszego wybuchu Etny, jaki za pamięci ludzkiej nastąpił. Wybuch wyrzucił wtedy podobno tyle popiołów, że okolice Nicolosi były zaciemnione przez dwa dni a w Katanii trzy miesiące nie widziano słońca. Kiedy strumień lawy płynął prosto na Katanią a mieszkańcy chcieli go za pomocą wału odwrócić w inną stronę, przyszło między nimi a zagrożonymi sąsiadami do walki orężnej. Rozżarzona lawa wpadła później w morze i stoczyła tu straszny bój z falami. Opisał go Michał Wiszniewski, pierwszy z Polaków, który wszedł na Etnę. Różowy kolor ścian Monti Rossi tkwi nam jeszcze długo w pamięci po straceniu ich z oczu. Wjeżdżamy w pierwsze zakręple strumienia lawy. To świadki wybuchu z przed kilkunastu lat. Dziko poszarpane ich masy piętrzą się w górę jakby zgłiszczą ogromnej budowli.

Droga skręca na prawo i zaczyna piąć się w górę. Roślinność u stóp Etny nadzwyczaj bujna: gaje oliwne i winnice, drzewa pomarańczowe, figowe, migdałowe, topole, dęby, kasztany, leszczyna, całe płoty kaktusów. Po-

woli drzewa urodzajne rzednieją. Opuszczamy krainę uprawną a zbliżamy się do strefy drugiej: krainy lasów. Wjeżdżamy w lasy liściaste o cudownie świeżej zieleni. Jedyną w swym rodzaju jest jazda przez rozkoszne lasy kasztanowe. Są to posiadłości jakiegoś granda hiszpańskiego, jak mię poucza przewodnik. W XVI. wieku kardynał Bembo zachwycił się tu lasami platanowymi; dziś z tych lasów niema ani śladu.

Po niespełna trzech godzinach jazdy zbliżamy się do Casa del Bosco, domu murowanego, położonego wśród lasu. Jest on zamieszkały, mimo że znajdujemy się na wysokości przeszło 1400 metrów. Zbudowany jest jako schronisko dla pasterzy i trzód. W pobliżu spotykamy pierwsze kratery. Powstały one świeżo, ośm lat temu. Droga zbliża się do jakiegoś wąwozu i pnie się raz po lewem, raz po prawem jego zboczu. Jesteśmy w krainie niewielkich wygasłych wulkanów. Powoli roślinność się kończy a zaczyna się trzecia strefa: kraina pustkowie. Wzniesliśmy się już 2100 metrów nad poziom morza. Dla braku wody, której zbita czarna masa lawy nie zdoła zatrzymać, nie masz tu flory alpejskiej, która gdzieindziej w tej wysokości jeszcze rośnie. Tylko drobne krzewy jałowców i berberysów pełzają po gruncie, czepiając się go korzeniem, i ożywiają nieco te martwe pustkowie. *Astragalus siculus* tworzy wielkie zbite półkule; jego gęste, poplątane gałązki pokryte są drobnem liściem. Oko nie przenika w ich gąszcz. Zresztą nie widać nic prócz trawy. Czarne pustkowie lawy błyszczą w słońcu jak aksamit. Zdaje się, żeśmy wjechali w krainę, w której odbyła się niedawno jakaś straszna walka Gigantów. Żaden głos ptaka, żaden brzęk owadu nie przerywa głuchej ciszy tych dantejskich krajobrazów. Jedyne ślad życia to dzwonki owiec, które dolatują ucho gdzieś z dołu, z pośród przewalających się od morza kłębow mgieł i chmur.

Robi się chłodno. Wjeżdżamy w nowe pola zakrze-

plej lawy. Pochodzi ona z wybuchu z przed 20 lat. Przed nami ukazuje się góra a u jej stóp wita nas gościnnie Casa Cantoniera, schronisko Towarzystwa alpejskiego. Jest ona niezamieszкана. Zmęczeni czterogodzinną jazdą wierzchem, wypoczywamy i posilamy się przywiezionymi zapasami. Za chwilę otaczające nas chmury rozdierają się u góry i ukazują szmat błękitu. Schowane gdzieś w mgłach słońce ozłaca chmury, po wschodniej stronie nieba skłębione. Chmury rozstępują się powoli i ukazują nam w pobliżu śniegi. Jesteśmy już więc w krainie śniegu. Śnieg jest tu sąsiadem ognia. Miejscami leży w dołach. Jest niewidoczny, gdyż pokrywa go gruba powłoka popiołu.

Nagle ogarnia nas zdziwienie. Z pod błękitu w tem pustkowiu, na tej wysokości dolatuje głos skowronka! Skowronek gdzieś utopiony w chmurach, ale głos jego dochodzi w tej ciszy tak wyraźnie jakby głos srebrnego dzwonka.

Po półgodzinnym wypoczynku ruszamy dalej. Koło nas znowu lawy i pustkowia przerażające. Po prawej ręce pokazuje się potężny, długi wał górski, jakby grzbiet potwornego zwierzęcia. Grzbiet ten zakrywa przed nami olbrzymią kotlinę. Po jakimś czasie kotlina odkrywa się cała. Jestto sławna Valle del Bove. Przed oczyma naszymi spada w dół bezdenna przepaść. Pomyślcie sobie otchłań szeroką na pięć kilometrów a otoczoną czarnymi ścianami, schodzącymi miejscami do 1200 metrów w dół. Czeluści otchłani czarne od lawy. Wydaje się to wszystko jakimś męczącym snem, jakąś wizją piekła. Najgroźniejszy widok alpejski nie może się równać z tym widokiem, bo gdzieindziej nie masz tych czarnych ścian z dziko spiętrzonej i poszarpanej lawy. Miejsce kotliny najbardziej strome i przepaściste jest według geologów najstarszym, pierwotnym kraterem Etny. W środku kotliny wznoszą się dwie wysokie góry stożkowate. To kratery pozostałe po wybuchu z przed laty pięćdziesięciu.

Droga zaczyna wznosić się w górę niezmiernie stromo. Pod nami ciągle pionowa przepaść czarnej kotliny.

Ale oto i wieczór. Zapadł prawie nagle. Jedziemy przez niekończące się pustkowia. Gdzie spojrzeć, czarna zastygła lawa. Przewodnika mojego widzę tylko wtedy, gdy na śniegu zarysuje się sylweta jego i jego muła albo gdy dochodzimy do jakiegoś grzbietu i on stanie przedemną na tle wieczornego nieba. W ciemności nie widać kierunku i spuścić się trzeba wyłącznie na instynkt muła.

Cisza taka, że aż dzwoni w uszach. Widzę tylko gwiazdy nad głową, daleko jaśniejsze na Południu niż u nas, i słyszę szum wiatru. Mimo, że jesteśmy blisko Afryki, zimno przenikliwe. Nic dziwnego. Jesteśmy na wysokości niemal 3000 metrów, w krainie wiecznego śniegu. Przebyłem dzisiejszego dnia wszystkie klimaty od zwrotnikowego do polarnego. Otulam się płaszczem, ale ręce, choć w rękawiczkach, tak marzną, że ledwie mogę utrzymać cugle.

Dochodzimy do punktu, poza który muły nie mogą iść, bo śnieg zmarznięty w lód pokrywa ziemię i droga wznosi się w górę zanadto stromo. Dwaj chłopcy odprowadzają je z powrotem na nocleg do Casa Cantoniera. Ja z przewodnikiem ruszam dalej pieszo. Pochód w górę po spadzistym śniegu ogromnie trudny. Górna warstwa śniegu twarda jak kamień i noga nie znajduje oparcia. Przewodnik uczy, że trzeba piętami czyli raczej obcasami wbijać się silnie w śnieg. Dopiero to i wielka zabrana z Nicolosi laska alpejska, okuta na ostro, umożliwia posuwanie się w górę. Wiatr, który po zachodzie słońca wstał silny, tamuje oddech. Dymy siarczane duszą i zmuszają do kaszlu. Droga jest tak męcząca, że musi się co chwila odpoczywać. Przewodnik chwytą mnie pod ramię i tak powoli pewniejszym krokiem krocę w ciemności.

Po długiej chwili wzrok zawadza w ciemności o jakąś ogromną masę czarną. To obserwatorium astrono-

miczne, położone 2942 m. nad morzem, kres naszej wycieczki na dzisiaj. Kustosz nie mieszka tu stale, zjawia się tylko co dwa tygodnie, by skontrolować aparaty samopiszące.

Zimno przejmujące. Przewodnik przynosi naczynie z rozżarzonymi węglami i przy świetle świecy rozkłada przywieziony posiłek. Tak jestem zmęczony, że nic nie mogę jeść. Tylko winem pokrzepiam siły. Po stołach, ławach, łóżku pełno delikatnego popiołu. Wciska się on tu, gnany wiatrem, w najdrobniejszą szczelinę. Przeglądam księgę, w którą podróżni zapisują swe imiona. Polskich imion znalazłem wszystkiego trzy, między nimi imię Włodzimierza Spasowicza. Polacy są więc rzadkimi gośćmi na Etnie. Księgę założono już chyba po bytności tutaj Michała Wiszniewskiego, bo jego imienia w niej nie spotkałem. W ogóle na Sycylię nie wielu musi przybywać Polaków, bo nazwa „Polacco“ jest Sycylijczykowi obca, jak się o tem nieraz przekonałem. Ale czas pójść na spoczynek, bo rano wyruszyć trzeba wcześniej. Kładę się do łóżka nierozebrany z powodu zimna, otulam się hawelokiem i kilku kocami, ale zasnąć ani rusz. Mimo, że obserwatorium ma grube ściany kamienne, zimno panuje takie, że przewracam się z boku na bok i tak spędzam noc bezsennie do rana.

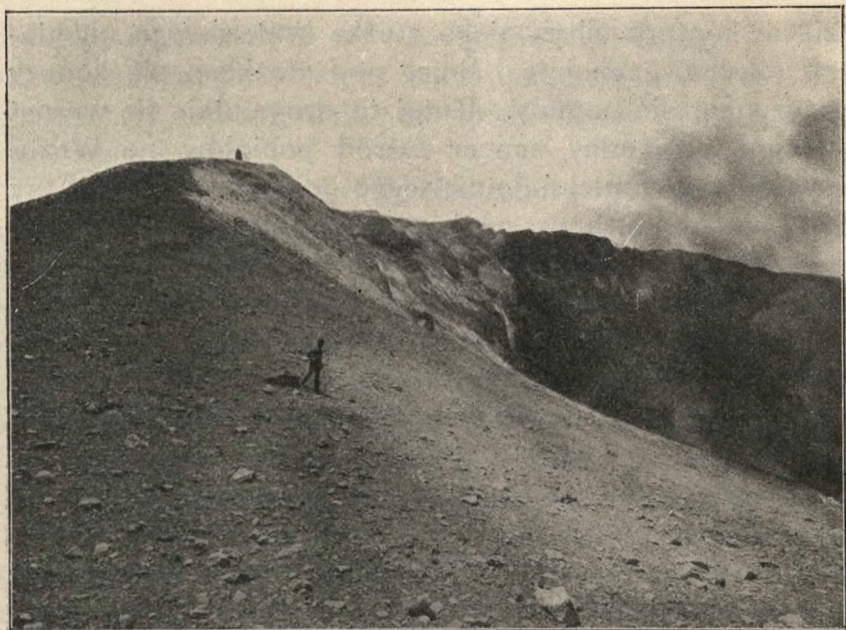
O trzy kwadranse na trzecią przewodnik każe wstać. W niespełna godzinę wejdzie słońce, czas więc ruszać, jeżeli się chce widzieć wschód słońca. Szczyt leży jeszcze 350 metrów nad nami. Posiłek krótki i ruszamy. Niebo już jasne, ale gwiazdy jeszcze świecą na firmamencie. Rąbek czerwony w jednym miejscu nieba wskazuje, gdzie niezadługo wejdzie słońce. Cisza niczem niezamącona. Nic dziwnego. Odgłosy ludzkie nie dochodzą do tej wysokości a istot żyjących tu nie ma. Wiatr dmie jeszcze silniej niż z wieczora. Ledwie zrobiliśmy krok, chwytają nas za gardło dymy siarczane. Idziemy na razie po śniegu. Przed nami rysują się wy-

raziście kontury olbrzymiego stożka kraterowego, dymiącego zwolna, spokojnie. Śnieg pod stożkiem się kończy a zaczynają się popioły. Tutaj to droga staje się wprost piekielna. Wygodny spacer wśród popiołów na Wezuwiusz nie daje o niej najmniejszego pojęcia. Stożek Etny jest ogromnie stromy, nogi grzęzną w popiele głęboko. Na każde dwa kroki naprzód robi się jeden w tył. Wiatr potężny dmie z całej siły. Wywołuje go nie tylko zbliżający się wschód słońca, ale i różnica w ogrzaniu powietrza nad lądem sycylijskim a nad sąsiednim morzem. Stawiając nogę w popiół, napotyka się niewidzialną bryłę lawy, potyka się i upada. Dymy i popiół tamują oddech. Płuca pracują jak miechy kowalskie i dziwić się trzeba, że nie pękają. Ręka marznie i ledwie zdoła utrzymać laskę alpejską. Co chwila trzeba zatrzymywać się i wypoczywać. Gdyby Dante był wszedł tutaj, byłby potępieńcom swego piekła kazał wdrapywać się na szczyt Etny. Wiatr strąca nas ciągle na dół, chwilami powala o ziemię, jak gdyby podziemni olbrzymi zazdrośnie przeszkadzali zajrzeć przez wnętrze krateru do swego czarnego królestwa. Choć zimno i wiatr przejmuje, spocony jestem jak w upał. Podobno czasami stożek nie jest pokryty popiołem. Wtedy wejście bywa mniej trudne. Ja trafiłem na czas, kiedy krater pokryty był wysoką warstwą popiołów.

Dochodzimy do zwału kamieni, zupełnie żółtych od dymów siarczanych; zapowiada to bliskość krateru. Ze szczelin w ziemi wydobywają się dymy. Odgłos podziemnych grzmotów dochodzi do ucha.

O kwadrans na piątą stajemy nad kraterem. Szło się wszystkiego godzinę, ale ta godzina zapisuje się w pamięci na zawsze. Męczy ona więcej niż pięć - lub sześciogodzinne drapanie się na szczyt alpejski.

Widok godny bogów. Paszcza krateru ogromna, imponująca, do pięciu kilometrów szeroka, dziko poszarpana, jakby w jakiej zacieklej walce Tytanów, opada pra-



Krater Etny.

wie pionowo w dół. Krater Wezuwiusza nie da się z nim porównać. Od spojrzenia w ciemną przepaść aż mąci się w oczach. Kolor wnętrza krateru fioletowy i żółty. Z głębi dna, szczelin i rozpadlin w bokach ciągle wydobywają się białe i niebieskawe dymy. Krater wabił ku sobie już starożytnych. Choć starożytność nie знаła turystyki górskiej, na wierzchołek Etny wdzierano się często, jak wiemy o tem ze Strabona. Nieznany poeta łaciński opisał niezwykle zjawisko wybuchów i starał się wytłómaczyć naukowo jego przyczynę.

Zbliżając się do brzegu krateru, nie mogliśmy się obejrzeć za siebie, bo krater ciągnął nas nieprzeparcie i pochłaniał całą naszą uwagę. Dopiero teraz, zobaczywszy krater, rzucamy okiem poza siebie. Na razie nie wiele widzimy. Dołem wszystko w ciemności i mgłę. Sycylia wygląda jak ogromne, ciemne morze, które powoli robi się białem. Z pośród tego morza sterczy jakby wyspa Etna. Wierzchołek jej jest już oświetlony słoń-

cem, podczas gdy dołem jeszcze oko nic nie rozróżnia. Zwolna zaczyna się koło nas roztaczać coś, co wygląda na czarodziejską baśń. Stajemy się świadkami jednego z najwspanialszych zjawisk natury. Nad białymi mgłami na zachodzie pokazuje się szeroki pas błękitny, jakby z najdelikatniejszej utkany mgły. Nad nim ciągnie się pas różowy, o niezmiernie subtelnym kolorze. Zwolna oba te pasy posuwają się ku wschodowi i otaczają nas dwoma szerokimi pierścieniami. Nie widzimy nic dookoła jak tylko dołem ogromny pierścień niebieskiej mgły, nad nim pierścień mgły różowej. Jestto jeden z największych widoków, jakie może spostrzec oko ludzkie. Nic dziwnego, że już starożytny romantyk na tronie, cesarz Hadryan, nie żałował trudów, by podziwiać ze szczytu Etny wschód słońca. Tej niezrównanej gry barw nie widzi się chyba nigdzie na świecie. Jestto obok krateru druga wielka rzecz, jaką widzi się na szczycie Etny.

Ale czarodziejskie widowisko rozplywa się. Dołem zarysowuje się szafirowe morze; rąbek jego zaczyna występować z niezmierną czystością, z tą czystością, jaką przybierają linie nad morzem Śródziemnem. Odróżniamy wybrzeża Katanii, nieco dalej Messyny i przeciwny brzeg Kalabrii. Pasma gór kalabryjskich odsłania swoje różowawe ściany o niezmiernie łagodnej linii. Morze zasiane jest białymi wyspami: to obłoki, które wiszą daleko, daleko pod naszymi stopami, tak daleko, że wydają się jakimiś niezmiernie odległymi wyspami. Nic dziwnego, jesteśmy 3274 metrów nad morzem. Wiatr, który dmie silnie zapowiadając blizki wschód słońca, zasypuje oczy drobnym piaskiem. Bliżej nas bieleją wielkie płaty śniegu obok obserwatorium, odrzynając się ostro na czarnem tle zastygłych law. Żadnego głosu prócz szumu wiatru.

Wreszcie słońce wstaje. Jest godzina pół do piątej. Wysuwa się powoli, wielkie, wspaniałe. Na dole, u stóp Etny, w miejscu, gdzie morze graniczy z pasem wybrzeża,

zabłysnął ogień. To słońce odbija się w morzu. Najpierw widać jeden płonący punkt; punkt ten rośnie szybko i przemienia się powoli w ognisty słup, który ciągle się zwiększa.

Na wschodzie góry kalabryjskie kładą jeszcze długi cień na zwierciadło morza. Od strony zachodniej rysuje się rzucony na płaską taflę Sycylii potworny cień Etny, kształtu stożka szerokiego u nasady, koloru ciemno-fioletowego. Boki stożka odrzynają się z niezmierną wyrazistością.

Wiatr silny nie pozwala obejść krateru dokoła. Z rozpadlin ziemnych ciągle dymi; wyglądają one zdaleka jak ogniska pastusze jesienią. W powietrzu ciągle jeszcze kłębią się mgły. Wstaje cudownie jasny dzień letni.

Rzucamy ostatni raz okiem dokoła. Wzrok nasz zatacza koło o przeszło 50 milach geograficznych średnicy a 180 milach obwodu. Widok z Etny jest daleko rozleglejszy niż z jakiegokolwiek innej góry w Europie o tej samej wysokości, bo Etna, leżąc tuż nad morzem, wznosi się o całe trzy tysiące metrów z górą nad otaczający poziom, podczas gdy gdzieindziej sam otaczający górę poziom leży nieraz na kilkaset metrów nad powierzchnią morza. Z żadnego punktu Europy nie ogarnia się okiem tak olbrzymiego kręgu morskiego.

Czas wracać. Przez popioły brnie się na dół bez porównania łatwiej niż się szło do góry. Powoli rozróżnia oko zielone lasy i murawy u stóp Etny. Het na prawo bieleją rozłożone na wysepce Syrakuzy, na lewo błyszczą w słońcu Messyna i Reggio, jeszcze dalej rysuje się wulkan Stromboli na tle wieńca wysp liparyjskich, tuż pod nami drzemie masa domów Katanii. Mijamy mały krater i zbliżamy się do obserwatorium. Posiłek — i ruszamy dalej, ciągle pieszo. Wchodzimy na śniegi. Dziś rozmiękły od słońca i idzie się po nich daleko łatwiej. W pobliżu dzikiej i przepaścistej Valle del Bove widzimy jakąś wieżę starożytną. Wieża ta nosi nazwę Torre del



Etna widziana z Taorminy.

filosofo. Według podania służyła za obserwatorium Empedoklesowi. Wiadomo, że wedle starożytnych filozof ten miał zakończyć życie śmiercią romantyczną, rzucając się w krater Etny. Wszędzie czarne, zastygłe morze lawy, jakby wygasłe wewnątrz piekła.

Po dwu godzinach schodzenia spotykamy czekające na nas muły. Przedemną jeszcze długa jazda konna do upalnej Katanii; tam i napowrót trwa ona razem jednaście godzin. W jednym dniu przeżyję dziś mroźną zimę i skwarne lato.

Najpiękniejszy widok na Etnę z dołu ma się w Taorminie, zwłaszcza o wschodzie słońca. Przed wschodem słońca Etna cała jest błękitna i pogrążona w cieniu. Pierwsze promienie słońca padają na śnieżny jej wierzchołek, który przybiera kolor różowy. Kolor ten posuwa się coraz więcej ku dołowi wulkanu w miarę, jak słońce się wynurza. Całą Sycylią kryje zresztą głęboki cień. Tylko chmury na zachodzie nieba, oświetlone promieniami, przybierają kolor złoto-różowy. Nareszcie słońce się pokazuje i oświeca ciemne dotąd szczyty gór taormińskich.

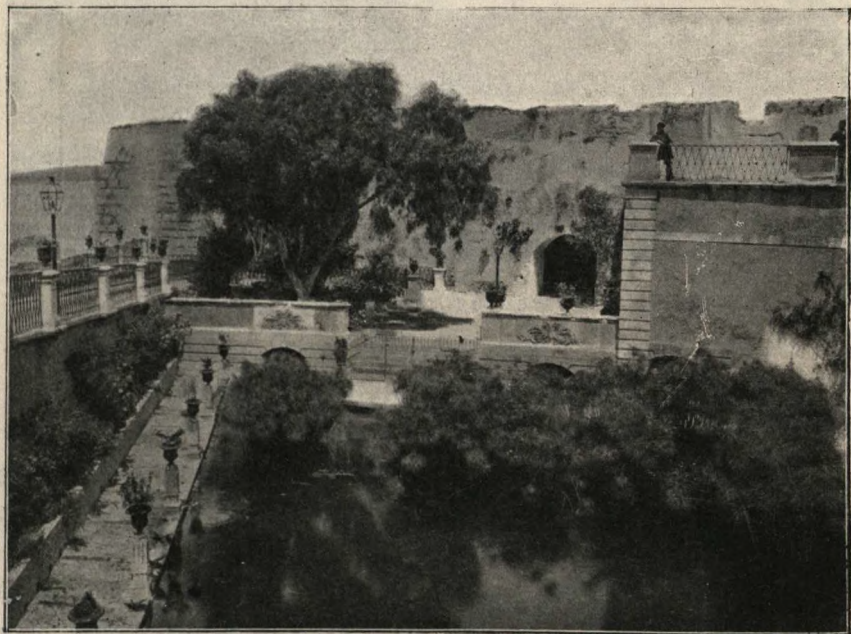


Syrakuzy (według akwareli K. Bussego).

Wrażenia Syrakuz.

Mało starych miast greckich tak rozkoszne i bogate budzi wspomnienia u tych, co je widzieli, jak Syrakuzy. Aretuza ze swymi kryształowymi nurtami, już w starożytności sławionymi przez poetów, z swemi zielonemi kępami krzewów papirusowych jest najpiękniejszym źródłem świata i pojąć łatwo, że oddawna pobudzała wyobraźnię do fantastycznych podań. Dziś ujęta jest w marmur i brudne kobiety nie piorą tu już bielizny, jak za czasów Wiszniewskiego. A rzadki kontrast Latomij z ich gładkimi, białemi ścianami wapiennymi i przygluszającą, bujną roślinnością, pełnych załomów, grot, rozkosznych, cichych kącików i czarownej woni kwiatów, gdzież znajdzie coś równego? Jedna z Latomij zupełnie słusznie nosi nazwę „Paradiso“. Czyż istnieją na świecie drugie łomy wapienne, z którymi wiązałoby się tyle wspomnień historycznych? Gdzież dalej mknie się łódką wśród ta-

kich cudownych gaików papirusowych, po gładkiej tafli rzeczulki, ukazującej w głębi fal drugie gaje papirusowe, a rozlewającej się miejscami w zachwycające jeziorka? Wycieczka łódką po Anapo do źródła Kyane należy do rzeczy, których się nie zapomina. Niezmiernie bujna roślinność pokrywa brzegi i wody rzeczulki; wiosła zahaczają co chwilę o rośliny wodne i tylko powoli można posuwać się naprzód. Krzewy papirusowe dosięgają



Źródło Aretuza w Syrakuzach.

6 metrów wysokości a więc bywają trzy razy tak wysokie jak człowiek; tworzą one z obu stron strumyka gęsty zielony mur. Za nim rozciągają się bagna zarosłe wysokim szuwarem. Płyne się wśród papirusów, jakby wśród lasów smukłych, delikatnych palm. Całość robi wrażenie podzwrotnikowe.

Z rzeki Anapo skręcamy na rzeczulkę Kyane i niezadługo jesteśmy u źródła tego samego nazwiska. Źródło rozkoszne, przejrzyste. To nimfa Kyane, która ośmieliła się

bronić Persefony przed porywającym ją Plutonem, została zamieniona za karę w kryształową falę źródlaną. W fali źródła odbija się słońce i zielone lasy papirusów, łódka i wiosła.

Jeżeli chcesz w Syrakuzach zanurzyć się w wspomnienia historyczne, których tu takie bogactwo, to powędruj za miasto, w ruiny starego fortu Euryelos, pochodzącego z czasów świetności miasta. Panująca tu wiecznie cisza nie przeszkodzi ci oddawać się wspomnieniom



Krzewy papirusowe w Syrakuzach.

przeszłości i wskrzeszać cienie Ateńczyków, Platona, Archimedesza; zamącą ją chyba świerszcze swoim zagłuszającym śpiewem, który tak dobrze pamiętał Teokryt. Pouczy też wędrowka tutaj o olbrzymiej niegdyś rozległości miasta, największego na ziemiach greckich. Dzisiejsza Siracusa to niewielkie miasto, żyjące tylko sławą dawnej przeszłości. Z dziejami starożytnych Syrakuz wiązały się dzieje wszystkich miast greckich Sycylii.

Wśród ruin Selinuntu.

Z Castelvetro do Selinuntu daleko a mam na wycieczkę tylko pół dnia. Zaraz więc po obiedzie najmuje powóz i polecam mu zajechać natychmiast. Sycylia jest cudowna, ale ludzie zamieszkujący ją to najniegodziwszy naród w Europie. Kto podróżuje po Sycylii, musi codziennie od rana do nocy staczać walki. Jestto bellum unius contra omnes. Żadne młode małżeństwo nie powinno w miesiącu miodowym wybierać się na Sycylię, bo podróż po tej uroczej wyspie popsuje mu nastrój do szczętu. Zupełnie trafnie określił Krasiński Sycylię, że to ziemia niegościnna a ponętna. Znam już nieuczciwość Sycylijczyków z dotychczasowych licznych doświadczeń, więc umawiam się o powóz z najmniejszymi szczegółami. Po znacznie dłuższym czasie niż było umówione zajeżdżają konie, ale widzę, że umowy nie dotrzymano. Zamiast powozu zajechał break bez oparcia. Skorzystano chytrze z tego, że wyraz *carozza* oznacza różne rodzaje wehikułów. Jechać w nim kilka mil tam, kilka z powrotem jest zbyt męczące. Skwar letni tutaj, o kilkanaście mil od Afryki, jest prawie zwrotnikowy. Nie pozostaje nic innego jak mimo krótkiego czasu szukać innego powozu. Poszukiwanie zabiera jednak sporo czasu. Chodzę po jakichś wozowniach, widzę powozy, ale właściciela ich znaleźć nie mogę. Nareszcie się zjawia.

Ugoda staje. Ale powóz muszą dopiero myć. Nowe czekanie. Tymczasem czas ucieka a w równinach Selinuntu wieczór nie powinien nikogo zaskoczyć, bo malarya w tych bagnistych okolicach chwyta nieopatrnego podróżnego w swe groźne szpony. Nareszcie ruszamy. Nie ujechaliśmy jeszcze parę kilometrów, gdy jeden z koni zaprzężonych do powozu pada na środku drogi i poczyną toczyć krew z pyską. Zaczyna się narada, co robić. Ja radzę odprowadzić go do najbliższego domu a jechać jednym koniem; z powrotem zabierzemy chorego konia, który tymczasem wypocznie. Woźnica nie zgadza się jednak na ten plan i zaprzęga chorego konia ponownie do powozu twierdząc, że koń pójdzie wcale dobrze. Nie ujechaliśmy jeszcze dwu kilometrów, gdy koń dostaje nowego krwiotoku. Woźnica tym razem już uznaje, że jechać nim dalej nie można, ale widocznie nie ufa siłom i drugiego konia. Za nami jedzie próżny powóz pierwszego właściciela doróżek, z którym umowę musiałem rozwiązać. Jedzie po jakichś gości weselnych w okolicę Selinuntu. Woźnica mój proponuje, bym pojechał tym powozem a on wieczorem przyśle po mnie do Selinuntu inne konie. Nie mam wyboru, więc się zgadzam. Obaj woźnice zawierają ze sobą umowę i jadę. Po pełnej kurzu drodze dojeżdżam tym razem szczęśliwie, choć ze znacznym spóźnieniem, do Selinuntu.

Cóż za beznadziejna okolica! Równina bagnista, pusta, bez domów, drzew, rozpaczliwie melancholijna. Od południa śmieje się do niej pogodne morze o ciemnoszafirowej toni.

Oto i ruiny świątyń na wzgórzu. Kolosalne głazy kamienne! W tem pustkowiu wydają się jeszcze więcej olbrzymie. Blok kolumny w średnicy jest o połowę wyższy odemnie. Leżą tak, jak je trzęsienie ziemi powaliło. Bujna roślinność czołga się wśród szarych głazów. Chyba olbrzymi, nie ludzie, wznosili te potężne świątynie! Selinunt to największe ruiny świątyń w Europie. Z miasta, co



Ruiny świątyń w Selinuncie.

niegdyś z sąsiedniego wzgórza szerzyło cywilizację grecką, dziś prawie ani śladu. Selinunt był najwięcej na zachód wysuniętą placówką greckości na Sycylii. Miasto oddzielała od wzgórza świątyń bagnista dolina. Jej dnem płynęła rzeka Selinunt. Około osuszenia bagien zasłużył się wielce Empedokles.

Wśród podobnego pustkowia nie leżą żadne ruiny Grecyi właściwej. W Selinuncie a także w Wielkiej Grecyi, w Metaponcie i w Paestum ma się wrażenie śmierci, opuszczenia. Tutaj, w Selinuncie, wrażenie to jest daleko silniejsze niż w Paestum, gdzie świątynie stoją dobrze zachowane i gdzie okolica jest wesoła. Tu o śmierci mówią ruiny i grozą śmierci tchną wyziewy bagienne. Dziwny kontrast potęgi ludzkiej, o której mówią głazy-olbrzymy, a tego majestatu zniszczenia i upadku! Cisza dokoła, nawet ptak nie przerwie jej swym głosem, głosu ludzkiego nie usłyszysz nigdzie, tylko morze szumi bezustannie, szumi dzisiaj z tą samą senną melancholią,

co wtedy, kiedy świąteczne tłumy składały przed świątyniami ofiary Herze i Apollinowi. Wszystko się zmieniło, tylko krajobraz został ten sam co niegdyś.

Kwitające i potężne miasto legło w gruzach w czasach wojny peloponeskiej. Zburzyli je Kartagińczycy. 16,000 mieszkańców przypłaciło życiem upadek miasta a 5,000 poszło zakutych w więzy niewolnicze do Afryki. Ledwie 2,600 zdołało ocalić życie, chroniąc się do sąsiedniego Akragas. Z miasta pozostały do dziś nieznaczne szczątki murów. Z upadku nie podniosło się nigdy, okolica zbyt była niezdrowa. Nawet olbrzymie ruiny świątyń zawał z czasem piasek nadbrzeżny.

Najbardziej na południe wysunięte ruiny, to ruiny świątyni Hery. Ku północy leżą kolumny drugiej jakiejś świątyni. Jedne i drugie znikają jednak wobec gigantycznych ruin trzeciej ze świątyń, położonej najwięcej na północ. Była ona poświęcona Apollinowi. Budowano ją w ciągu wieków VI. i V.; pomimo tego długiego czasu budowy nie zdołano jej wykończyć. Kolumny nie mają dotąd żłobkowań. Była to jedna z największych świątyń greckich. O wspaniałości jej ruin trudno dać wyobrażenie w słowach. Wystarczy powiedzieć, że długość świątyni wynosiła 113 metrów.

W tem królestwie milczenia nic nie przypomina dzisiejszego człowieka. Myśl może przenieść się całkowicie w dawno ubiegłe wieki.

Słońce chyli się ku zachodowi. Z trzęsawisk wstają opary; po skwarze afrykańskim, który tu panował przed godziną, zaczyna teraz czołgać się przejmujący, wilgotny chłód. Jak zwykle na południu, zmrok zapada szybko. Jestem sam w tych nieprzebranych równinach, bo obiecany powóz nie zjawia się. Strach pomyśleć, jak tu przyjdzie spędzić noc wśród czającej się w bagnach febry, jeżeli konie nie nadejdą. Gdzieś z oddali dolatuje jednak po pewnym czasie głuchy turkot powozu. Mało już widać, bo zmrok kryje okolicę. Zjawia się kabriolet, za-

przeżony w jednego konia, nie w parę, jak było umówione. Wracamy. Okna w Castelvetro płonęły światłami w cieniach nocy, kiedy stanąłem w mieście. Znajac stosunki sycylijskie nie zdziwiłem się nawet, gdy woźnica za powóz jednokonny zażądał tej samej zapłaty co za parokonny.

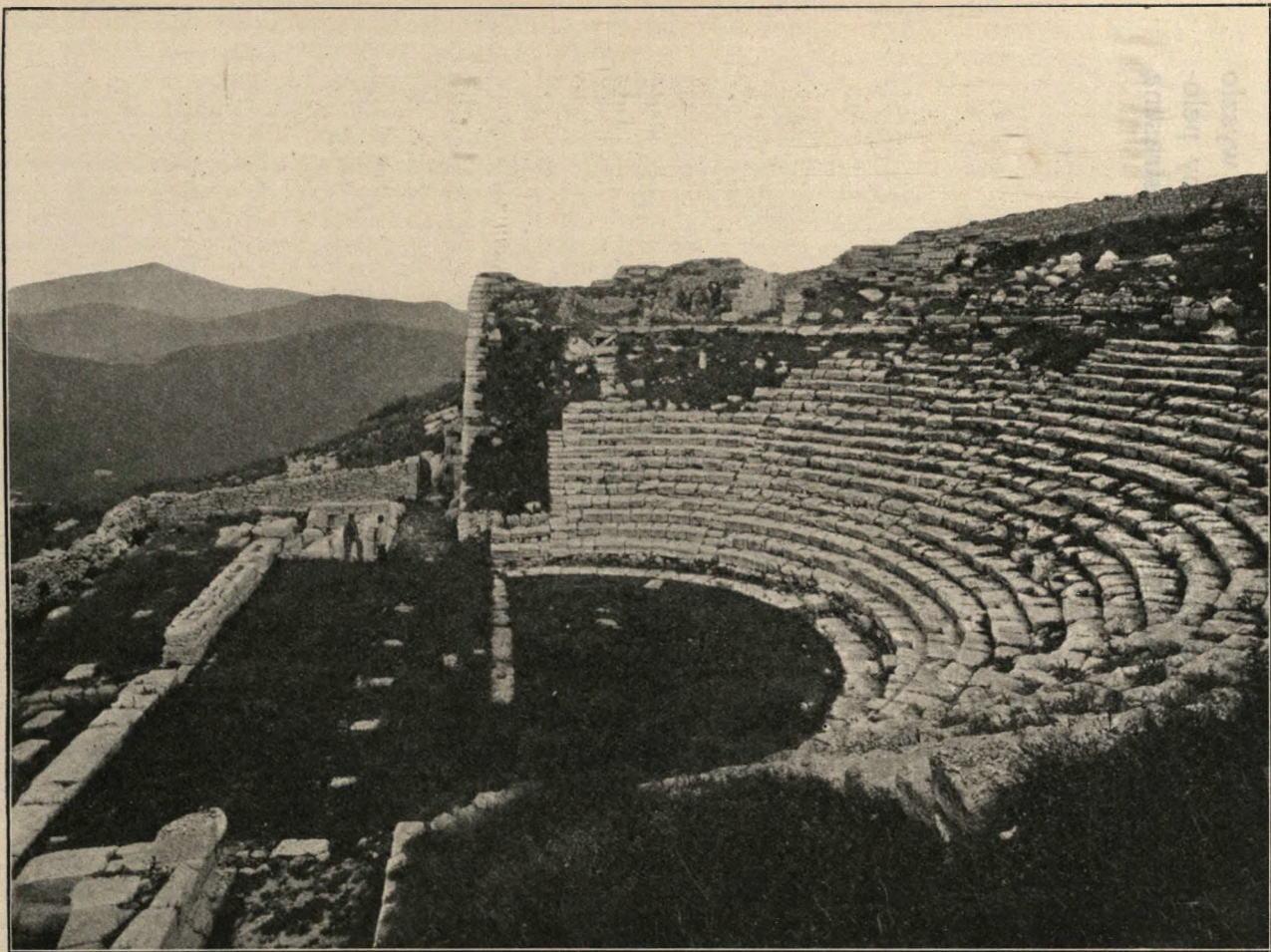
Segesta.

Do Segesty jedzie się dla oglądania świątyni i teatru greckiego. Segesta leży wśród gór, jak Bassai lub Lykosura, ale zarazem blisko morza. Kawałek lazuru morza przegląda z pomiędzy dwu gór. Świątynia dorycka ma prześliczny kolor złotawy, który w gorącym słońcu sycylijskim nabiera dziwnie ciepłych i miękkich odcieni. Świątynia w Segeście jest tem ciekawa, że nie była nigdy skończona. Zbudowano kolumnadę, celli nie wzniesiono. Kolumny nie wykazają jeszcze kanelur. Po Tezejon i Phigalei jestto najlepiej zachowana ze świątyń greckich, które widziałem. Wśród tego pustkowia świątynia sprawia szlachetną prostotą linii niezmiernie silne wrażenie.

Oglądałem wiele teatrów greckich, ale żaden nie ma tak pięknego położenia jak tutejszy. Rozłożył się na stokach wysokiej góry. U stóp jej, ku północy, ciągnie się wielka równina. Za nią, po lewej wznoszą się szare, potężne masy dwu gór: Monte Inice i Monte Sparagio, po prawej roztacza się szafir morza. Widzowie siedząc w teatrze mieli przed sobą morze. Czyż z teatrem tym może się równać którykolwiek z teatrów dzisiejszych? Na rzeźbie proscenium uśmiechają się dotąd dwaj Satyrowie. Dziwnie dostosowani do dzikiego, górskiego otoczenia. Oni jedni zdają się żyć w tej głuchej, niczem nie



Świątynia grecka w Segesście.



Teatr grecki w Segesście.

zamałconej ciszy, oni tworzyć świadki i resztki tego, co było i minęło niepowrotnie.

Opodal na górze wznosiło się miasto. Stąd wyszło hasło wezwania pomocy ateńskiej w czasie wojny peloponeskiej, która dla Aten miała się skończyć tak straszną katastrofą.

HISZPANIA.

HISPANIA.

W pustyni Eskoryalu.

Duch pewnych
niezwykłych ludzi
unosi się jeszcze po
wiekach nad miej-
scami, w których
przebywali za życia.
Duch Filipa II. nie-
tylko wybił swe pię-
tno na ogromnej bu-
dowli Eskoryalu, ale



Eskoryal.

zdaje się przyniatać dotąd całą okolicę. Trudnoby było
w mało ponętniej okolicy Madrytu znaleźć drugie miej-
sce równie puste, ponure, przygnębiające, wżerające się

w duszę smutkiem
ołowianym. Okoli-
ca ta dziwnie odpo-
wiadała charakte-
rowi Filipa; czło-
wiek i natura zle-
wają się tu, har-
monizują i uzupeł-
niają.



Eskoryal od strony ogrodu.

Długie dnie spę-
dzone w tutejszej

sławnej bibliotece i na samotnych przechadzkach po dzikiej, skalistej, bezdrzewnej okolicy zaliczam do najsmutniejszych w życiu. Jedyną osłodą wygnania są prześliczne obrazy Luki Giordana w zakrystyi klasztoru. Trzeba Giordana widzieć tutaj, by się go nauczyć cenić. Człowiek na tem pustkowiu mimowoli staje się mnichem, samotnym, ponurym, jak mnich Greca lub Zurbarana. Nawet głos ptaka nie rozwesela tej smutnej górskiej samotni, tylko wiatry hulają ze świstem po nad martwymi polami. Opuszcza się okolicę Eskoryalu jak więzienie, z uczuciem niewymownej ulgi.

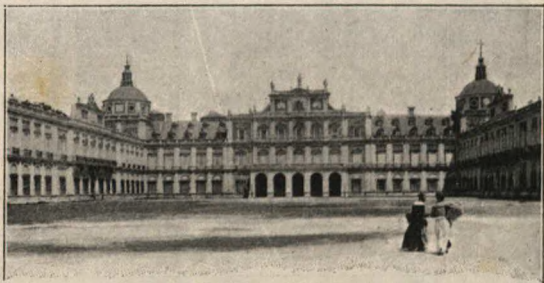


Okolica Eskoryalu.

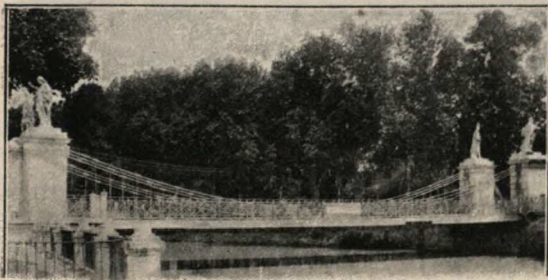
Ogrody Aranjuezu.

Tak, „minęły piękne dni Aranjuezu“... Wspaniałe pałace i ogrody królewskie opuszczone, ciche, prawie zaniedbane, zdają się dumać o świetnej przeszłości. Trzeba

widzieć je jesienią, kiedy nad pożółkłemi i poczerwieniałemi koronami drzew leży pogodna melancholia, kiedy zwiędły liść zaściela aleje a słońce kładzie swe blade blaski na sadzawki. Wspaniałe platany i wiązy, jakim równych nie ma południowa Europa, szeleszczą

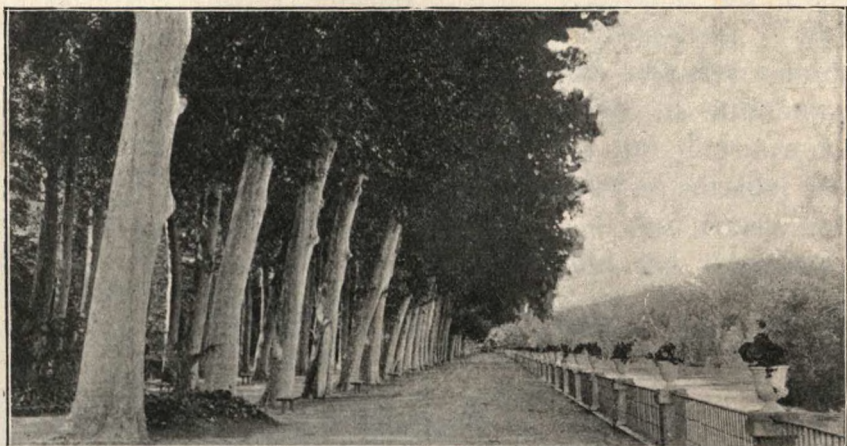


Pałac królewski w Aranjuezie.

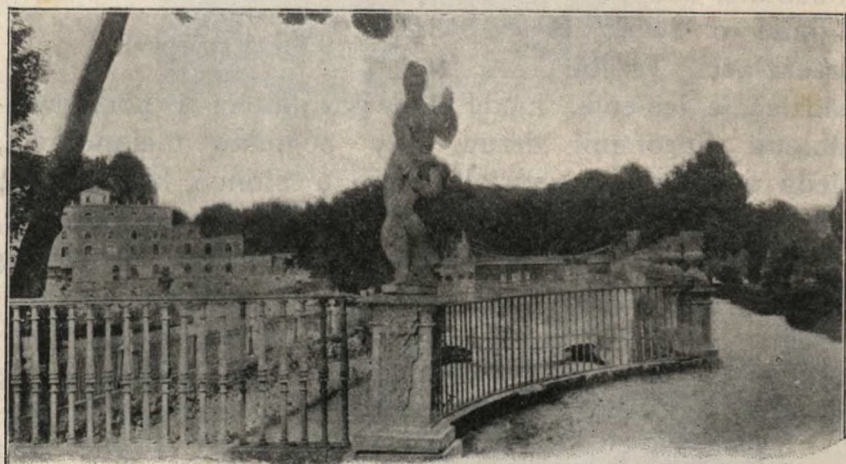


Most w parku w Aranjuezie.

przerzedłem liściem. Pnie ich i konary odbijają się w spokojnych wodach. Partye nad rzeką nie mają równych nawet w Wersalu.



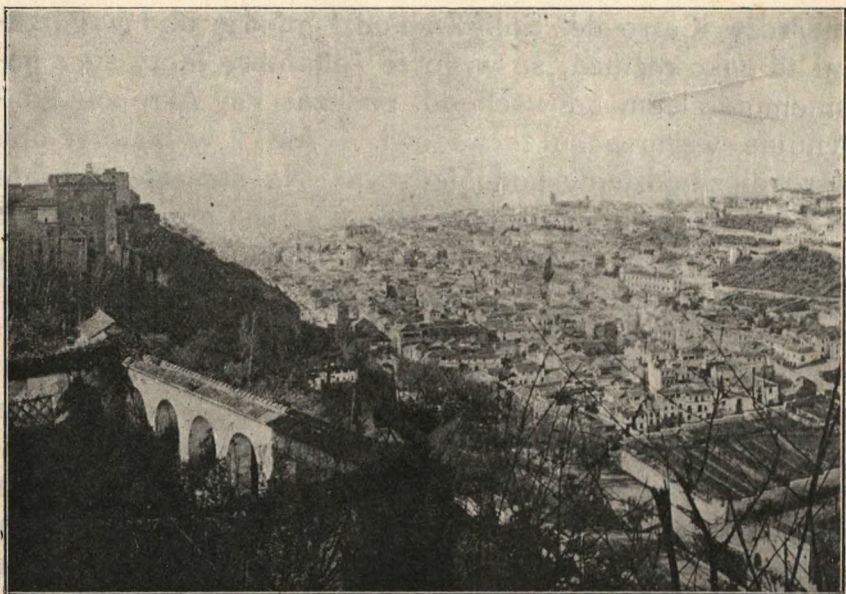
Aleja w ogrodzie Aranjuezu.



Z ogrodów Aranjuezu.

La Mancha.

Step, step spalony przez słońce i wichry, suchy, prawie bez trawy, zrudziały. Ciągnie się milami, bez końca. Robi wrażenie przygnębiające nawet na Hiszpanów w wagonie; rozmowy milkną. Sam pociąg zdaje się leniwieć w tych smutnych, bezbrzeżnych równinach. W skwarze południa step wydaje się jeszcze bardziej pustym. Gęsto widać słone jeziorka, z ziemi miejscami wykwiła sól. Jedyne urozmaicenie stanowią wiatraki, które tu stoją dziś tak samo jak za czasów nieśmiertelnego Cervantesa. Nagle — dziwny widok! Przez samotny, pusty step jedzie ktoś na koniu noga za nogą. Za nim w pewnem oddaleniu wlecze się na koniu ktoś drugi. Czysta wizya Don Kichota i jego sługi.



Granada (na lewo Alhambra).

Alhambra.

Stepy i inne krainy poezyi giną już w Europie, ale trwają jeszcze choć w części krainy baśni i marzeń. Taką krainą jest Alhambra.

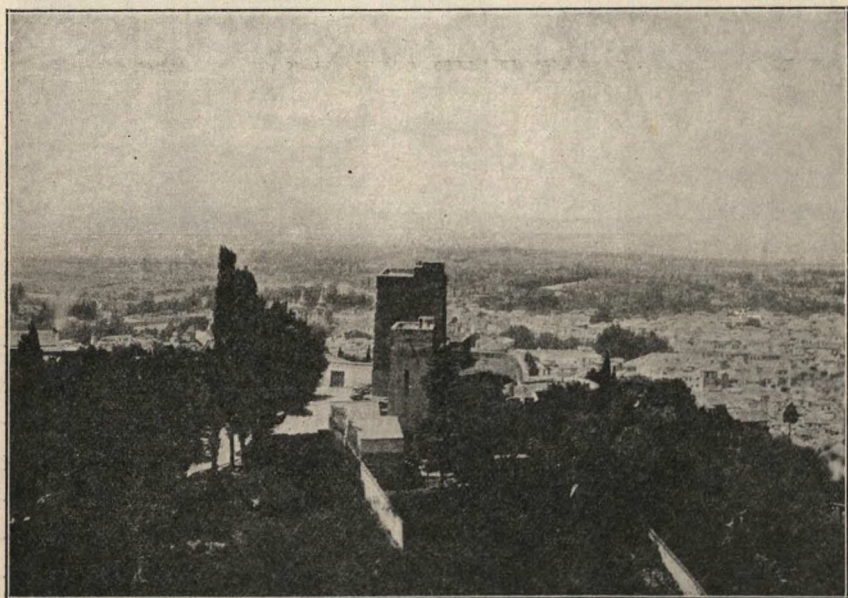
Najpiękniejsze, co ma Hiszpania, to Alhambra. Wspaniała jest katedra w Toledo, katedra w Burgos jest najcudowniejszą katedrą świata, ale ostatecznie piękne katedry znajdujemy i w innych krajach, natomiast Alhambra jest jedyna w świecie. Można ją porównać tylko z ateńską Akropolis; i tu i tam cuda sztuki, choć w zupełnie innym rodzaju. Między akropolą grecką a arabską jest zresztą więcej jeszcze punktów styecznych. Już sama postać i położenie obu wzgórz podobne; jedno i drugie ciągnie się od wschodu ku zachodowi, oba opadają z trzech stron stromo w dolinę, oba z natury stworzone są na twierdzę. W Atenach wznosi się od wschodu wysoki Lykabet, w Granadzie również od wschodu strzela w gó-

rę szczyt Cerro del Sol. Zachodzi między obu wzgórzami ta tylko różnica, że wzgórze Alhambry łączy się z pasmem górskim od wschodu, podczas gdy Akropolę kontynuują wzgórza ku zachodowi. — Ale i w historyi obu akropol znajdziemy podobieństwa. Na ateńskiej zebrało się to, co wydała najpiękniejszego sztuka grecka w dobie najwyższego swego rozkwitu; w Alhambrze podziwiamy szczyt świetności sztuki maurytańskiej. Przypadek chciał, że i Alhambra jak świątynie greckie ucierpiała w czasach nowożytnych od wybuchu prochów. Alhambrze groził wtedy gorszy los niż świątyniom ateńskim, bo założona już była mina mająca ją wysadzić w powietrze a uratowała ją tylko przytomność umysłu prostego żołnierza hiszpańskiego. Pomimo burze wieków skarby Alhambry zachowały się daleko lepiej niż Partenon i inne dzieła sztuki epoki Fidyasa.

Któż zapomni cudowny park wiodący do Alhambry! Ten las niebotycznych wiązków, tak gęsto pokrywających zbocza wzgórza, że korony ich splatają się w jeden zielony dach, nieprzepuszczający promieni skwarne go afrykańskiego słońca Andaluzji. Któż zapomni te rzesze słowików, ożywiające swemi melodyjami zaciszne zakątki parku i rywalizujące z donośnym szmerem wód! W największy skwar tutaj panuje świeżość i chłód.

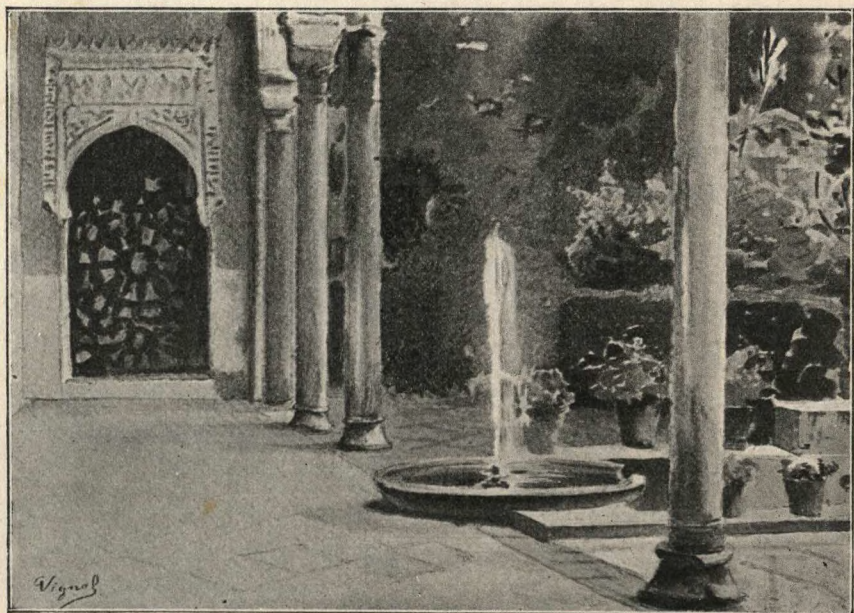
Alhambra przedstawia daleko późniejszy stopień rozwoju sztuki arabskiej od meczetu Kordowy. Pałace jej to dzieło XIII. i XIV. wieku. Zaczął je kalif Mahomet I, dzieło ojca prowadził dalej Mahomet II, ale właściwymi twórcami świetności Alhambry są w XIV. w. kalifowie Jusuf I. i Mahomet V. Oni to pobudowali te sale tronowe, sale ambasadorów i rady, oni założyli niezrównane dziedzińce z fontannami i krzewami. Właściwie każdy z kalifów wznosił tu nowy pałac, bo każdy dziedziniec z przylegającemi doń komnatami miał osobne wejście i stanowił pałac dla siebie. Zwyczajem południowym w tych dziedzińcach koncentrowało się życie.

Pierwsza wita nas wzniesiona na wązkim cyplu zachodnim Alcazaba, dawna cytadela maurytańska. Dziś zachowały się z niej tylko potężne wieże, terasy i opasujący wzgórze mur. Na tych ruinach krzewi się bujnie ogród. Tysiączne sploty powojów, bluszczów, dzikiego winogrodu czepiają się najdrobniejszej szczeliny w murze a powódź różnobarwnego kwiecia zalewa terasy tak, że nie dojrzysz prawie wśród niego cegieł. Ale jeżeli oko nie może się oderwać od morza barw, to któż opisze cu-



„Czerwone wieże“ Alhambry i Granada.

downy zapach kwiatów, zapach odurzający zmysły, o którym mieszkaniec północy nie może mieć pojęcia! Jeżeli już na ziemi greckiej zapach mięty w Eleusis przyprawia o ból głowy, to cóż powiedzieć o zapachach tych gorejących barwami kwiatów pod żarem afrykańskiego słońca Granady! Drzewa granatowe otwierają ku słońcu swe różowe, soczyste owoce. Ich gałęzie oraz sploty pnących się roślin ogrodu są schronieniem rzesz ptactwa, ożywiającego swym śpiewem ten ogród wśród ruin. By w tym



Dziedziniec w Generalife (według akwareli Vignala).

rozkoszny raj ziemski nie brakło niczego do całkowitego szczęścia, dała mu przyroda niezrównany widok dokoła. Od zachodu leży u naszych stóp morze śnieżno-białych domów Granady, od południa sterczą „czerwone wieże”, Torres Bermejas, dawne fortyfikacje maurytańskie, od północy oko ginie w przepaści, dołem której płynie Darro. Poza nim piętrzą się wzgórza Albaicinu, niegdyś zamieszkiwane przez arystokrację arabską, dziś — igraszka losu! — przez brudnych cyganów. Czy kto uwierzy, że w Europie istnieją jeszcze dziś ludzie jaskiniowi? Cyganie Granady spędzają całe życie w jaskiniach piaskowych, w nich palą ogień i gotują, w nich śpią w nocy a chronią się w dzień przed żarem słonecznym, w nich rodzą się i umierają. Tak żyją tu ci nowocześni trogodyci od czterech wieków. Od wschodu góruje ponad czerwonymi murami Alhambry (medinat alhamra znaczy po arabsku „czerwone miasto”) olbrzymi szczyt Cerro del Sol. Do jego stóp przyczepiony jest letni pałac

sułtanów, cudny Generalife, ginący wśród cyprysów i zieleni parku. W dali, ku południowemu wschodowi, ciągnie się pasmo Sierra Nevada, o prześlicznym różowawym kolorze. Korony gór błyszczą w słońcu od śniegu. Poza Granadą roztacza się zielona, urodzajna równina andaluzyjska, Vega. Zamykają ją u granic widnokregu spalone słońcem, brunatne pasma sierr.

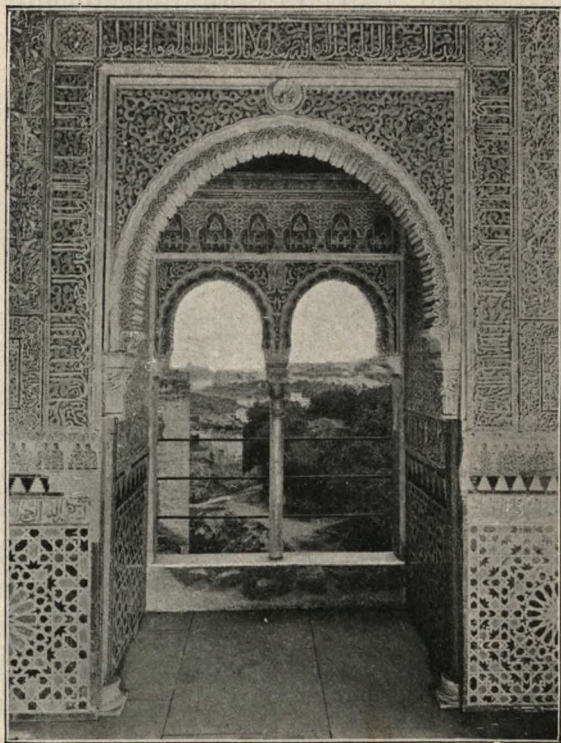
Ale czas oderwać się od widoków a zwrócić do drugiej dzielnicy Alhambry, Alhambry w ściślejszem tego słowa znaczeniu, właściwych pałaców sułtańskich. Na zewnątrz one niepozorne, jak wszystkie budowle wschodnie. Za to któż opisze czar, którym nas wita wnętrze? Od chwili przestąpienia progu pałaców kroczymy w jakimś czarodziejskim śnie, wszystko, co nas otacza, to czyste marzenie z baśni. Błądzimy po tych rozkosznych dziedzińcach z ich fontannami, gaikami pomarańczowymi i mirtowymi, po tych wspaniałych salach przyjęć i cienistych alkowach, wśród lasu kolumnienek, pojedynczych lub wiązanych po dwie i trzy a zamkniętych od góry łukami podkowiaistymi, i nie wierzymy prawie, że mamy przed sobą rzeczywistość. A któż opisze dopiero przepych ornamentacyi, owe niezrównane arabeski pokrywające ściany od góry do dołu. Gdziekolwiek oko zwróci się, oszołamiające bogactwo figur geometrycznych i splotów roślinnych. Zdumienie bierze, jak fantazja ludzka mogła się zdobyć na coś podobnego. Jakże



Brama w Alhambrze
(według akwareli Vignala).

ubogie wydają się po tych cudach Tysiąca i jednej nocy pałace monarchów dzisiejszych! A wszystkie te dziedzińce zalane złocistymi strugami południowego słońca, świała aż jaskrawego, prawie brutalnego. Czujemy się przeniesieni nagle o całe wieki wstecz, w życie zupełnie inne od naszego, w cywilizacją niezmiernie bogatą a tak oryginalną! Jakżeż bujne życie musiało tu panować niegdyś! Malownicze stroje arabskie ożywiały te milczące i puste dziś komnaty, sułtanów otaczał świetny dwór, w komnatach haremu królowały sułtanki w gronie licz-nego orszaku niewiast...

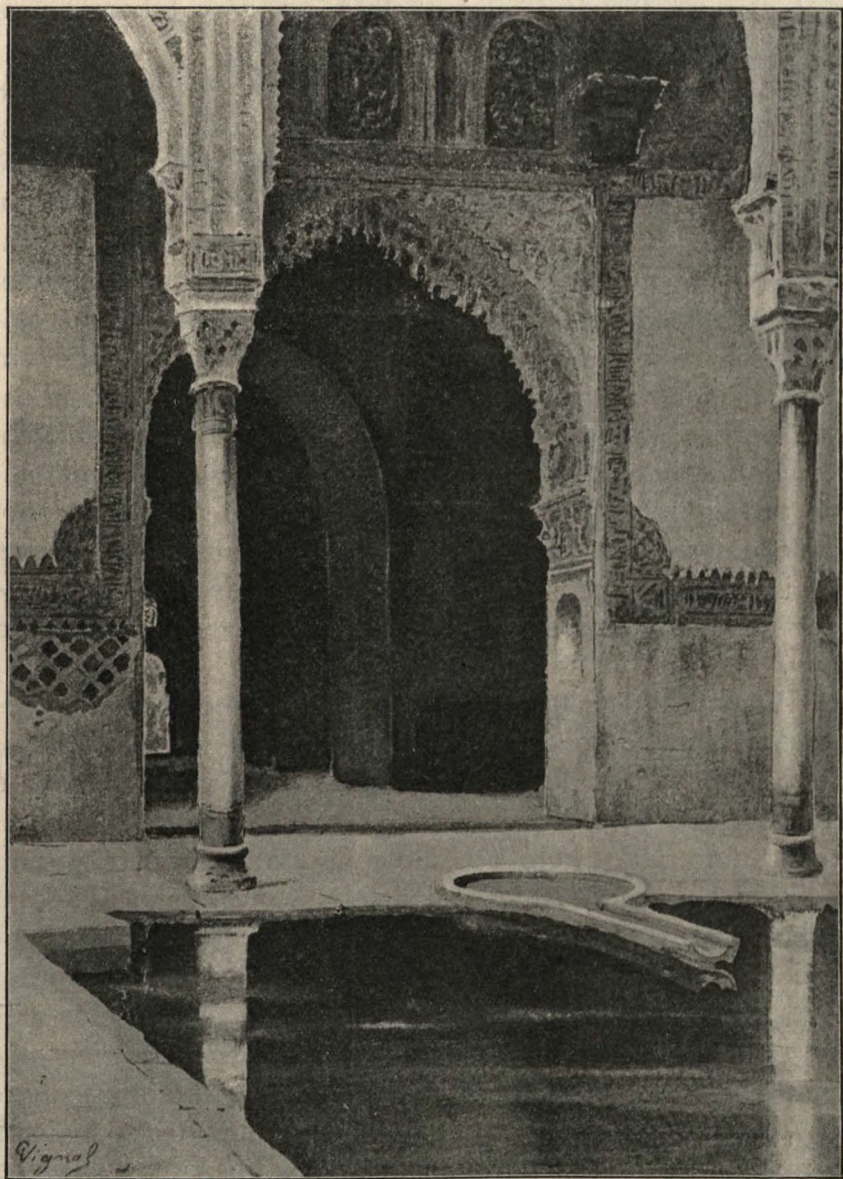
Pałac arabski w konstrukcyi swej jest tylko rozszerzonym namiotem koczowniczych synów pustyni. Cienkie kolumnienki marmurowe zrodziły się z drążków, na których opierał się namiot. Bogata, barwna ornamentacja



Okno w Alhambrze.

ścian przypominała arabskim nomadom wzorzyste ko-bierce wschodnie, wyścielające wnę-trze namiotu. Na-wet stawszy się osiadłym, chciał Maur mieć koło sie-bie wspomnienia odległej pustyni.

Oto „dziedzi-niec mirtów“. W słońcu błyszczą gładkie wody wiel-kiej sadzawki. Po-sadzka wyłożona płytami marmuro-wemi, z nich strze-lają w górę lekkie, smukłe kolumnienki,



W Dzialeńcu mirtów w Alhambrze (według akwareli Vignala).

unoszące pełne wdzięku galerye. Strop alkow przypomina wnętrze groty; tysiące sopli stalaktytowych zwisają nad głową. Przejścia, zamknięte od góry łukami, prowadzą do zacisznych nyz.

Cały przepych Wschodu, cały blask potęgi i bogactw kalifów roztaczał się w sąsiedniej Sali poselstw. Arabeski jej mają kolor czerwony i czarny. Z daleka widziane przybierają ciepłą barwę złotawą, niezmiernie delikatną i subtelną. Niektórzy przenoszą się chętnie myślą w czasy, kiedy te arabeski błyszczały całym przepychem świeżych i żywych barw. Mnie więcej pociąga harmonia dzisiejszych bladych kolorów. Jeżeli się przyjrzymy arabeskom zblizka, spostrzegamy jedyną w świecie rozmaitość: w całym pałacu nie ma dwóch wzorów zupełnie podobnych. Nawet na jednej i tej samej ścianie znajdujesz obok siebie szeregi coraz innych wzorów. Mimo to całość robi zdaleka wrażenie zupełnie jednolite; rozmaitość zaciera się i zlewa. Dopiero przy zbliżeniu się do ściany i przyjrzeniu jej zblizka spostrzega się, że co jeden wzór to inny.

Wspaniała Sala ambasadorów była niegdyś salą tronową władcy. Pokrywa ją kopuła z drzewa modrzewiowego. Tutaj to odbyło się ostatnie wielkie zgromadzenie Maurów pod przewodnictwem ostatniego króla Boabdila. Rezultatem jego było poddanie Granady chrześcijanom. Z okien sali widać miasto i dzielnicę cygańską Albaicin. O kolosalnej grubości murów zamkowych dają wyobrażenie nyz okien: każda z nich jest prawdziwą komnatą. Przez okna leje się wesołe światło dzienne i zagląda zieleń roślinności południowej. Ten rozkoszny, przesycony światłem krajobraz jest niezbędną częścią składową obrazu Alhambry. Pomyślmy sobie Alhambrę przeniesioną w mglisty krajobraz północny. Ileżby utraciła ze swego uroku!

Ale oto i cud Alhambry: Dziedziniec lwi, z słynną fontanną, której czara opiera się na głowach dwunastu



Dziedziniec lwi w Alhambrze.

lwów. Prócz niej zdobi dziedziniec jeszcze ośm mniejszych fontann. Tutaj to przebywali sułtani porą zimową. Na marmurowe płyty dziedzińca rzucały niegdyś cień drzewa pomarańczowe. Dziś ich nie ma. Lekkie kolumnienki arkad otwierają niezrównane perspektywy. Arabeski ścian mają ciepły złotawy kolor słoniowej kości. Cóż to za genialny musiał być budowniczy, który zdobył się na pomysł tych koronkowych cudów! Dziękuję niebiosom, że nie jestem architektem, bo architekt dzisiaj musi być w rozpacz na widok tych czarodziejskich tworów fantazyi, którymby dorównać nie potrafił.

Nieco dalej sala, opromieniona poezją podań: sala Abenseragów. Jeden z członków tego potężnego arystokratycznego rodu miał pozyskać wzajemność królowej, małżonki Boabdila. Za miłość tę zapłacił strasznie nie tylko on, ale i cały jego ród. Członków rodu miano stracić w tej sali mieczem. Śladów ich krwi dopatruje się lud dotąd w brunatno-czerwonych plamach marmuru fontanny, zajmującej środek sali.

Któż opíše wspaniałość tej i innych sal, jak przepysznej „Sali dwu sióstr“, będącej niegdyś zimowem mieszkaniem sułtanki, łaźni o wannach marmurowych, dziedzińców ocienionych cyprysami i drzewami pomarańczowymi a ożywionych fontannami?

Wszelkie opisy przy Alhambrze dowodzą tylko, jak niedostatecznem jest słowo ludzkie, gdy chodzi o danie komuś drugiemu pojęcia o rzeczy, której nie widział.

Meczet w Kordowie.

Drugą obok Alhambry najpiękniejszą rzeczą w Hiszpanii jest meczet w Kordowie. Stara stolica państwa Maurów nie posiada prócz niego nic uwagi godnego, ale meczet korduański sam starczy za setki budowli i wart jest, by dla zobaczenia go pielgrzymować z dalekich krajów. Zresztą „Mekka Zachodu“ a dawna sławna siedziba nauk przedstawia dziś smutny widok wielkości w upadku: wąskie uliczki, nędzne domy, ubóstwo szarego życia. Słusznie nazwano Kordowę miastem pustyni; ma ona przypominać Bagdad lub Damaszek.

Meczet, obecnie zamieniony na katedrę, jest największym i najwspanialszym tworem Maurów w Hiszpanii na polu architektury religijnej. Po Kaabie w Mece jest to największy meczet mahometański świata. Powstanie swe zawdzięcza potężnej dynastii Omajadów. Budowano go dwieście lat, budowały go całe pokolenia. Twórca dynastii Omajadów, Abderraman I., postanowił wznieść dla wiernych świątynię, któraby zastąpiła im Mekkę. Zbudowany przez niego pod koniec VIII. w. meczet obejmował zaledwie piątą część dzisiejszego. Mieścił 10 rzędów kolumn a 11 naw. Abderraman II. rozszerzył w IX. w. meczet w stronę południa, ku Gwadalkiwirowi. Najwspanialsza dobudowa pochodzi jednak od kalifa Al Hakima II. z X. w.; jego dziełem jest między innymi prześliczny

mihrab, dotąd zachowany. W tymże wieku X. rozszerzył Almanzor świątynię ku wschodowi. Cała budowa stanowi dziś olbrzymi czworobok, wielkością dorównujący kościołowi św. Piotra w Rzymie. Jest to cała wielka dzielnica Kordowy.

Opasuje ją mur jak twierdzę. Mur kamienny, monotony, prosty, bez ozdób, jaki widuje się w miastach Wschodu. Bramą od północy wstępujemy na ogromny dziedziniec, *tz. Patio de los Naranjos* (Dziedziniec pomarańcz). Wrażenie, jakiego doznajemy, jest zupełnie niespodziane. Znajdujemy się nagle przeniesieni gdzieś na Wschód. Na ogromnym dziedzińcu panuje prawdziwie wschodni spokój i cisza. Dziedziniec porasta trawa, wśród niej zielenią się drzewa pomarańczowe i palmy i wznoszą studnie. To wszystko zalane jest potokami



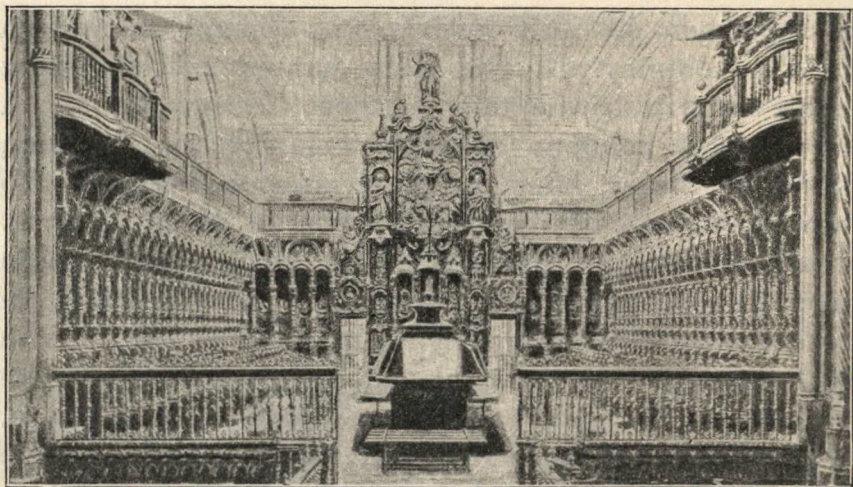
Meczet w Kordowie.

światła afrykańskiego, pełne powietrza i przestrzeni. Kto szuka cienia, znajdzie go pod gałęziami drzew i w krużgankach, biegnących dwoma bokami dziedzińca.

Ale nie mamy czasu rozglądać się długo, wznosząc się od południa gmach wabi nas do wnętrza. Wchodzimy i doznajemy niesłychanej niespodzianki. Wrażenie jedyne w świecie! Znajdujemy się w ogromnym, gdzieś bez koń-

ca ciągnącym się lesie palmowym. Pniami drzew tego lasu są kolumny. W tym lesie panuje półcień, który dodaje wnętrzu dziwnej tajemniczości. Posuwamy się na prawo, — las kolumn; na lewo — las kolumn. W którą stronę się ruszyć, błądzimy po ciemnym lesie. Jeżeli kto chce mieć wrażenie nieskończoności, to dozna go tutaj. Poza tem dają je chyba jedynie przestwory morza albo stepu. Dosyć powiedzieć, że kolumn liczy budowla jeszcze dziś przeszło 850, niegdyś pewno niewiele ich brakło do tysiąca. Zda się, błądząc po tym olbrzymim lesie kolumn, że jesteśmy w jakimś śnie czarodziejskim, że przed oczyma naszymi przesuują się jakieś miraży. Tylko wyobrażenia Wschodu mogła się zdobyć na podobnie fantastyczny pomysł. Wielki Justi, — jeżeli on pisał w Baedekerze ustęp traktujący o meczecie w Kordowie, — nie zrozumiał genialnego pomysłu wschodniego architekta; to, co napisał o wnętrzu meczetu, świadczy, że idea wielkiego Mahometanina pozostała dla niego zamkniętą na siedm pieczęci. Strop meczetu był niegdyś ciemny; to zwiększało jeszcze wrażenie lasu: ciemny strop przypominał gęste sklepienie koron drzew.

Kiedy ten jedyny w świecie widok, któremu podobnego nie daje żadna katedra chrześcijańska, wywarł na nas już swoje potężne wrażenie całością, zaczynamy spostrzegać szczegóły. Kolumny, wyciosane z marmuru, porfiru, jaspisu i innych gatunków cennego kamienia, nie mają baz; pomysł to wielki: inaczej nie dawałyby wrażenia drzew lasu. Tworzą one 19 naw. Jeżeli odwrócimy się ku drzwiom wchodowym meczetu i spojrzymy na dziedzińiec, przez któryśmy weszli, to las ten jeszcze zdaje się powiększać, bo i drzewa rosnące na dziedzińcu zasadzone są w rzędy i stanowią pewnego rodzaju przedłużenie szeregów kolumn świątyni. Kolumny łączone są łukami podkowiaстыми, tak charakterystycznymi dla budownictwa arabskiego. Łuki te pomalowane są w pręgi białe i czerwone. Niestety, wrażenie dzisiejsze świątyni nie dorówny-



Stalle kaplicy w meczecie w Kordowie.

wa temu, które się odbierało niegdyś. Chrześcijaństwo obeszło się z tym cudem świata po barbarzyńsku. Popsuło niezrównaną, jedyną w świecie perspektywę wnętrza wbudowaniem w środku pospolitych kaplic, ogłosiło budowlę z wspaniałego stropu a posadzkę z bogatych mozaik, zastępując je najzwyczajniejszymi płytami kamiennymi. Meczet pokryty był niegdyś w górze odkrytym belkowaniem z drzewa piniowego, bogato pomalowanym na czerwono i złoconem. W górze gorzało według świadectwa pisarzy arabskich 280 świeczników i 7425 lamp. Cóż za cudowne efekty musiały sprawiać te tysiące światel zawieszonych u stropu nad półcieniem lasu kolumnowego. „Złoto błyszczy jak ogień ze stropu“, powiadają świadkowie współcześni, „świeci jak błyskawica, rozdzierająca obłoki“. Dziś widać miasto stropu banalne sklepienie nowożytnie.

Szczyt przepychu rozwinęli artyści arabscy w położonej w głębi świątyni kaplicy modłów, mihrabie. Na szczęście zachował się dotąd ten klejnot sztuki maurytańskiej nieuszkodzony. Przeszedłszy rodzaj przedsionka, wchodzimy do wnętrza kaplicy o podstawie siedmiokątą.

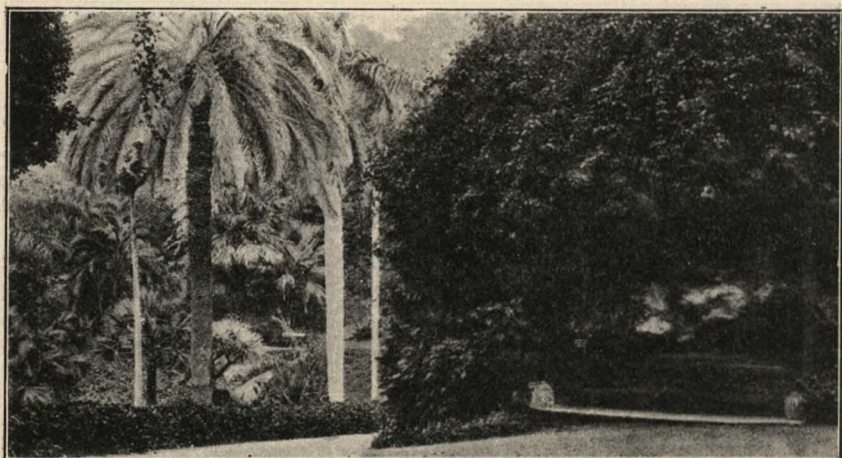
Cóż za bogactwo kolumn, łuków, różnokolorowych mozaik na marmurowych ścianach, coś za niezliczona ilość napisów arabskich! Nad przedsionkiem wznosi się kopuła w kształcie szyszki pinii, nad samą kaplicą druga olbrzymia kopuła o postaci muszli, wyciosana z jednej kolosalnej bryły marmurowej. Wierni Muzułmanie czołgali się niegdyś siedemkroć na kolanach wzdłuż ścian mihrabu; jeszcze dotąd posadzka nosi ślady kolan ludzkich. W sąsiedniej kaplicy znajdowała się niegdyś wspinała ambona; na niej spoczywał koran, pisany ręką drugiego następcy proroka, kalifa Omara, i jego krwią skroplony.

W XVI. wieku zniszczono środek cudnego wnętrza meczetu. Wbudowano weń chór z kaplicą i nawą poprzeczną. Ofiarą tego barbarzyństwa padło 63 kolumn. Ówczesna rada miejska Kordowy posiadała więcej zmysłu artystycznego od wysokiego duchowieństwa chrześcijańskiego: zagroziła karą śmierci każdemu, kto by pomagał w tem dziele zniszczenia. Sprawa oparła się o cesarza Karola V. Cesarz znał się na sztuce; niestety, wydał tym razem wyrok, nie zbadawszy istotnego stanu rzeczy: przyznał słuszość kapitule. Cudowna harmonia wnętrza, jedyna w świecie perspektywa, zniknęła na zawsze. Kiedy cesarz przybył później do Kordowy i zobaczył dzieło zniszczenia, zawołał do duchowieństwa: „Wzniesliście coś, cobyście wy czy kto inny był mógł wznieść i gdzieindziej a zniszczyliście coś, co było jedynem w świecie“.

Na szczęście, zostało z tej wspaniałej budowli jeszcze tyle, że i dzisiaj opuszcza się ją pod wrażeniem, że zobaczyło się cud.

Kadyks.

Wązkimi schodami drapię się na wieżę, z której można zobaczyć całe miasto. Jeszcze parę schodów i jestem u celu. Ale cóż to — czy oko ludzi? Niezwykły widok! Obecnie, w porze upałów, biały śnieg pokrywa płaskie dachy miasta. Za chwilę wyjaśnia się złudzenie. To śnieżno-biały kolor domów, jakiego nigdzie gdzieinziej nie widziałem. Białłość podnosi jeszcze szafirowy kolor morza, które otacza Kadyks ze wszystkich stron. Bo Kadyks leży jakby na wyspie, wązkim cyplem łączącej się z lądem. W dzień pochmurny, kiedy morze przybiera kolor ciemniejszy, białłość domów występuje jeszcze silniej.



Z ogrodu haciendy de la Concepcion w Maladze.

W skwarze Malagi.

Do Malagi nie jedzie się dla oglądania zabytków przeszłości, choć przeszłość jej stara, bo była tu niegdyś osada fenicka, lecz ażeby zobaczyć kawałek Afryki. Żadne miejsce Andaluzji nie nosi tak wybitnie afrykańskiego piętna jak Malaga. Klimat tutejszy jest niezwykle suchy i gorący. W czasie mego pobytu mówiono mi, że ostatni większy deszcz spadł przed rokiem. Choć to był październik, upał był taki, że po godzinie wędrówki dostałem bólu głowy, a była to dopiero godzina dziewięta rano. Drogi, domy, drzewa, wszystko grubo pokryte białym pyłem wapiennym. Od białości pyłu tem silniej odbija głęboki lazur morza, przeblaskujący co chwila z pomiędzy murów ulic. Okolica Malagi robi wrażenie afrykańskiej; przy każdym niemal domu rosną palmy. Aleja palmowa, którą tu widziałem, należy do najwspanialszych na Południu. Krzewy z przepysznymi czerwonymi kwiatami dostrajają się do tego egzotycznego obrazu. A któż zapomni owe haciendy zamiejskie bogatych właścicieli, z ich niezrównanymi cienistymi ogrodami, o zwrotnikowem bogactwie roślinności, palmach strzelających w niebo, kwiatach ró-



Z ogrodu haciendy de la Concepcion w Maladze.

żnobarwnych, altanach, w których wypoczywa się po skwarze południa słuchając szmeru fontanny. A i cała bo-



Z ogrodu haciendy de la Concepcion w Maladze.

gata, starannie nawodniona Vega, w której leży Malaga, robi wrażenie jednego ogromnego ogrodu. Gaje pomarańczowe i figowe, pola trzciny cukrowej i bawełny, drzewka migdałowe i granatowe wprawiają w zdumienie bujnością zieleni. Wszystko to zalane potokami rażącego oczy światła andaluzyjskiego i skąpane w żarze, który słabo tylko łagodzą lekkie powiewy, ciągnące od morza. Owoce tutejsze nie mają równych w Europie.

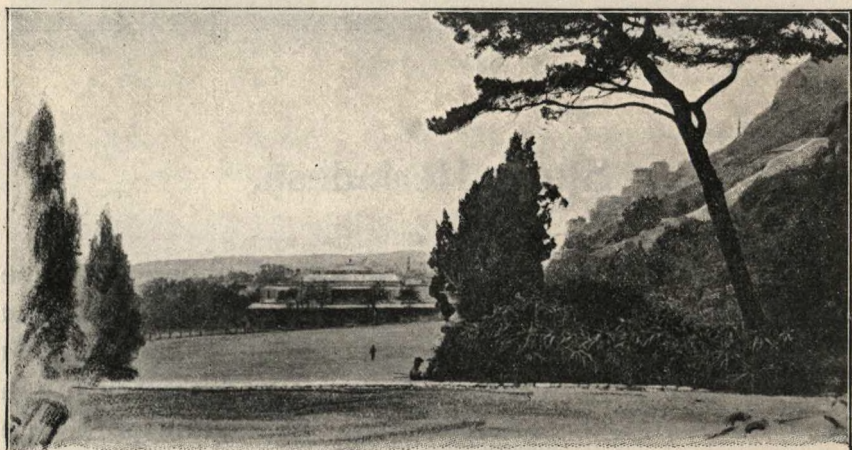


Gibraltar.

Słupy Herkulesa.

Pociąg zbliża się do Algeciras. Zachodnie słońce rzuca skośne promienie na obłupane z kory pnie dębów korkowych. Lokomotywa dysząc ciężko wypada z lasu i nagle — cóż za potężne wrażenie! Przed nami wynurza się z fal morskich kolos skalny. Olbrzymia góra, ale o formach łagodnych, jak przystoi na prawdziwego olbrzymia, stoi wśród morza jakby jakaś wyspa, oderwana od lądu. Wprawdzie od strony północnej łączy się z lądem wązkim cyplem, ale cypel ten jest tak niski, że niemal nie wystaje ponad powierzchnię morza. Stąd zdaleka nie widzi się połączenia skały z lądem i ma się złudzenie, że góra wznosi się wśród morza. Dopiero widząc Gibraltar, rozumie się, czemu już w zamierzchłej starożytności tak uderzał oko i wyobraźnię starożytnych, że „Słupy Herkulesa” stały się pojęciem popularnem nie tylko wśród marynarzy greckich, ale i w najszerzych warstwach całego świata greckiego, pojęciem, które już wcześniej weszło nawet w mity ludowe. Bo nie położenie geograficzne tego punktu zrobiło go powszechnie zna-

nym. Nie w tem miejscu morze między Europą a Afryką jest najwęższe; trzeba od Gibraltaru dosyć daleko płynąć, by dojść do punktu, w którym cieśnina jest najwęższa, tak zwanej Punta Marroqui. Także i afrykański odpowiednik Gibraltaru, drugi „słup Herkulesa“, ani nie jest tak blizki ani nie uderza tak dalece swą wysokością, żeby oba „słupy“ łączyły się w pamięci żeglarza. Jedyne niezwykle położenie i postać potężnej skały zapewniły jej sławę w starożytności i dzisiaj. Drugi słup dodała więcej wyobraźnia niż rzeczywistość.



Ogrody Gibraltaru.

Trzeba widzieć gdzieś z morza ten słup Herkulesa w chwili, kiedy go dokoła otulą gęste, czarne obłoki; wspaniała skała staje się wtedy zupełnie niewidzialna a nad morzem wisi tylko ciemny, Mojżeszowy słup. Ujrzałem takim Gibraltar w porannych godzinach z pokładu statku. Dokoła morze tonęło w blasku słonecznym. Przekonany byłem, że grozi burza i że lada chwila czarne wnętrza opony chmur przeszyją pioruny. Tymczasem było to tylko zwyczajne w Gibraltarze zjawisko, towarzyszące wiatrowi wschodniemu.

Na promenadzie, założonej po zachodniej stronie Gibraltaru a zwanej, jak zwykle w Hiszpanii, Alameda, ro-

ślinność podzwrotnikowa. Wszystko spalone żarem słonecznym i grubo pokryte białym pyłem wapiennym. Pełzające drzewa figowe wyciągają swe mięsiste ramiona, jak gdyby chciały pochwycić przechodnia. Prześliczne niebieskie powoje i krzewy o wielkich kwiatach pąsowych nie pozwalają prawie uwierzyć, że to październik. Przechodzimy obok płotów kwitnącego geranium, wysokich na półtora metra. Palmy, pinie i eukaliptusy chronią przed skwarem, jaki u nas trafia się chyba w czerwcu i w lipcu. Niezwykły to ogród, bo co chwilę wyzierają do nas z pośród drzew paszcze armat. Ogromne kule, długie jak ręka a grube jak pień drzewa, grożą zagładą statkom wojennym nieprzyjacielskim. „Kogo się zastanie w tym ogrodzie, będzie pociągnięty do odpowiedzialności“, głosi napis w języku angielskim.

Warto widzieć Gibraltar z przeciwległego Algeciras wieczorem. Amfiteatr domów, pokrywających zachodnie terasy szarej skały, płonie wtedy tysiącem świateł. Drugi tysiąc odbija się w ciemnych falach zatoki.

Ludzie.

Nie widziałem w Hiszpanii człowieka, któryby się spieszył. Czasu nikt tu nie ceni. W Burgos w hotelu zamawiam śniadanie; dopiero w dobrą chwilę po zamówieniu posyłają do miasta szukać mleka. Spiesząc na kolej chcę zapłacić rachunek; właścicielka hotelu prosi mię, bym poszedł do salonu i zaczekał; czekanie to trwa bez końca, mimo, że właścicielka wie, że się spieszę do pociągu.

Zmysłu kupieckiego Hiszpan nie posiada. W obec kupującego jest obojętny a nawet szorstki. Na stacyach nie sprzedają nic do jedzenia, nawet przy wielkich liniach. Zdawałoby się z tego rysu, że Hiszpan jest urodzonym jeżeli nie grandem, to przynajmniej caballerem. Tymczasem na każdym kroku spotykamy się z objawami demokratycznymi. Na trotoarze nędzarz w łachmanach nie usunie się największemu panu; uważa on się za zupełnie mu równego. W San Sebastian w eleganckiej kawiarni obok promenady kąpielowej siada przy mnie u tego samego stolika robotnik w bluzie, nic a nic nie krępując się moją obecnością i kelner przynosi mu piwo z równą usłużnością jak mnie a on je i pije z taką swobodą, jakby nie siedział przy nikim obcym.

Pobożność południowa ma dziwny charakter. W Burgos widziałem Hiszpanów, zwiedzających kaplice wspa-

niałej katedry w kapeluszach. W niedzielę w Madrycie wywożono najspokojniej materyał z rozebranego domu. W Saragossie trafiłem wieczór na pochód z pochodniami; obchodzono w ten sposób uroczystość świętej na całą Hiszpanią Virgen del Pilar. Na czele orszaku jechał wóz ubrany w girlandy; na nim stał człowiek w stroju starożytnego Rzymianina i jakaś kobieta. Wóz otaczali ludzie, przebrani za żołnierzy rzymskich. Huczna muzyka rozbrzmiewała po ulicach miejskich, któremi sto lat temu spływało tyle krwi. Obchód religijny przybiera tu charakter widowiska czysto świeckiego.

Niedbalstwo i niepraktyczność hiszpańska dają się czuć cudzoziemcowi na każdym kroku, ale najwięcej w podróży kolejną. Napisu stacyi zwykle nie można odszukać, tak niewłaściwie jest umieszczony. Z wielkiej linii kolejowej, łączącej Paryż z Madrytem, chciałem zboczyć do Salamanki. Od tej linii jest Salamanka oddalona zaledwie o 77 kilometrów. Pociąg pospieszny od granicy francuskiej przyjeżdża do Medina de Campos, stacyi, z której odgałęzia się linia do Salamanki, o godzinie 4 m. 20 po południu. Mimo że Salamanka leży na wielkiej linii, łączącej Paryż z Portugalią, mianowicie z wielkiem miastem handlowem Oporto, nie ma z Mediny połączenia do Salamanki tego dnia, i to nawet od pociągu pospiesznego. Najbliższe połączenie ma się dopiero nad ranem. W innej stronie Hiszpanii chciałem się dowiedzieć, czy otwarty jest ruch kolejowy na pewnej nowej linii. Według rozkładu jazdy ruch powinien być na niej już istnieć. Pytam dla pewności urzędnika na jednej z sąsiadujących z linią stacyj; odpowiada mi, że ruchu jeszcze nie ma. W innej stacyi pytam drugiego urzędnika; otrzymuję tę samą odpowiedź. Pokazało się później, że obaj dali mi mylne odpowiedzi; ruch był otwarty. Rozkład jazdy urzędowy zawiera przestarzałą mapę; nie było na niej uwidocznione, że linia otwarta. Rozkład nowy obowiązuje od 1-go października; mimo to 2-go jeszcze nie można

było dostać go na stacyach. Nie brak w urzędowych rozkładach fałszywych dat pociągów. W jednej z większych stacyj Andaluzji chcę złożyć pakunki w depozyt kolejowy i powiadam to. Odsyłają mię do naczelnika stacji. Ten jest zajęty służbą czy je obiad, dosyć, że czekam na niego dosłownie *trzy kwadranse*. Po upływie tego czasu dowiaduję się od niego, że pakunków w ogóle deponować nie można, bo stacja nie ma magazynu. Przez to czekanie omal nie spóźniłem się do pociągu. Biegnę do kasy kupić bilet. Tu informują mię, że dla linii, którą chcę jechać, a będącej przedłużeniem linii, którą dotąd jechałem, istnieje osobna, dosyć oddalona stacja. Żadnego napisu, któryby podróżnego o tem poprzednio objaśnił. — W Aranjuezie zabiera pocztę z kolei prywatny omnibus hotelowy. O to, żeby z jego dachu pakunki nie pospadały w czasie jazdy i nie poginęły, nie troszczy się nikt, bo omnibusem nie jedzie nikt ze służby pocztowej. Kiedym się po raz pierwszy zbliżał do Madrytu, na jaki kilometr przed stacją pociąg zatrzymał się w równym polu. Wszelkie sygnały maszynisty pozostawały bez odpowiedzi. Czekaliśmy na kontrsygnał ze stacji może z półgodziny. Widocznie funkcjonaryusz kolejowy, którego zadaniem było wpuszczać na stację pociąg, opuścił swe stanowisko. Po długim czekaniu pasażerowie poczęli zabierać swoje rzeczy i iść torem pieszo do stacji. Nie było nikogo, kto by zabrał cięższe pakunki. Służba pociągu patrzyła obojętnie na kłopot pasażerów. Nie pozostało i mnie nic innego, jak wziąć w rękę dwie ciężkie walizki, torbę i parasol i wlokąc to wszystko z trudem, podążać za innymi. Tak przebyć trzeba było kilometr drogi po torze aż do stacji.

Na stacyach andaluzyjskich żebracy wysuwają ręce przez parkan otaczający stacją i żebrzą bez przeszkody. Gdy się jedzie koleją, żebracy stają na stopniach wagonu, wsuwają najspokojniej głowę do wagonu i proszą o wsparcie. Proszę nie uważać tego za przesadę. — Ban-

dytyzm w Andaluzji istnieje do dzisiaj. W przedziale wagonu, którym jadę, siedzi dwu żandarmów, tak, że wyglądam na eskortowanego zbrodniarza. Żandarmi ci mają bronić bezpieczeństwa podróżnych. Dziwne wrażenie robi na mieszkańca Północy, gdy widzi, jak żandarm zagląda pod ławki i na półki wagonu, szukając, czy nie ma ukrytego w przedziale rozbójnika.

Kto przyjeżdża do Hiszpanii z nadzieją znalezienia tam malowniczych strojów, dozna wielkiego rozczarowania. Kolor ciemny stroju przeważa w całej Hiszpanii. Pod tym względem wielka panuje różnica między Hiszpanią a Włochami, zwłaszcza południowemi. Jedyne w Aragonii zachowało się nieco barwności w stroju narodowym. W ogóle lud hiszpański mniej jest malowniczy od włoskiego.

Echa grecko-rzymskie żyją jeszcze w kształtach naczyn. W kawiarniach podają w lecie wodę w dzbanach glinianych o przepięknych formach greckich.

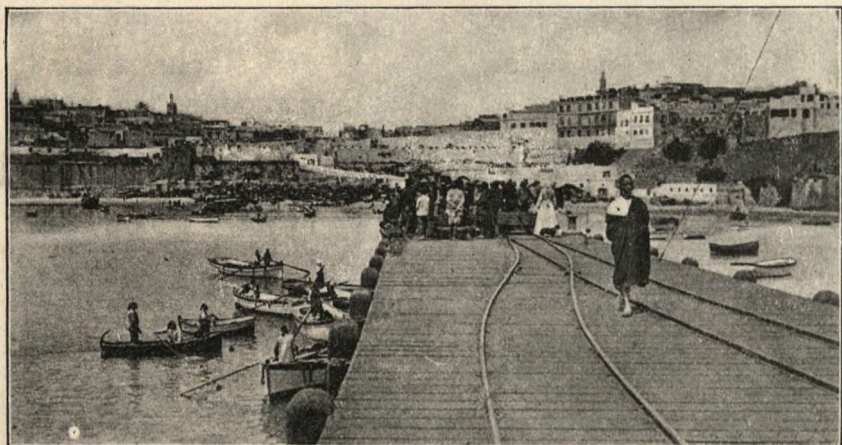


Mury miejskie w Tangerze

Z WYCIECZKI DO MAROKKO.



Z WYCIĘKAMI DO MAROKKO.



Tanger.

Targ w Tangerze.

Dzień targowy, więc warto stanąć na targowicy i przyglądać się ruchowi. Co za nadzwyczajna różnorodność typów! Pół Afryki przesuwa się przed nami. W Konstantynopolu ani w przybliżeniu nie widzi się tego bogactwa ras. Kabyle, Rifenowie, dzicy Andżarowie, Murzyni, wszystkie kolory skóry od oliwkowego do hebanowego przesuwa się przed nami. A co za wspaniała budowa ciała mężczyzn! Obnażone ręce, nogi, piersi jakby ulane z brązu. Kobiety z dziećmi na plecach przeciskają się przez tłumy.

Opodal tłum otoczył kogoś dokoła. Zbliżam się i widzę w środku koła tancerza z Sudanu. W rękę ma kaski żelazne. Podczas tańca nie tylko porusza całym ciałem, ale wykonywa ruchy wszystkimi muszkułami twarzy, pokazuje język, przybiera groźne miny.

Oto inny obrazek: opowiadacz baśni. Słuchacze zajęli amfiteatralnie miejsca na pagórku. Pozy ich ma-



Typ marokkański.

lownicze i niezmiernie urozmaicone. Jeden słucha z zapartym oddechem, oparłszy łokieć o kolano a na dłoni wsparłszy brodę. Drugi siedzi, ale prawie podnosi się z zaciekawienia, opierając się o ziemię obiema rękami. Co jeden, to w innej pozie. Udział duchowy u wszystkich równie żywy. Opowiadacz stoi w środku, ale nie stoi nieruchomo. Zanim przejęty jest tem, co opowiada,



Brama w Tangerze.

w przejęciu często zaczyna chodzić po środku. Giestykułuje niezmiernie wyraziście. A co za modulowanie głosu! Nie rozumiem ani słowa z jego opowiadania, mimo to rozróżniam dokładnie w tem, co mówi, dwu rozmawiających, tak wybornie umie zmieniać głos. Jestto znakomity aktor, któremu mógłby pozazdrościć talentu niejeden artysta dramatyczny Europy.



Dziewczyna marokkańska.



Ulica w Tangerze.



Odaliska w Tangerze.

Już w Andaluzji spotyka mieszkaniec Północy na targu owoce całkiem mu nieznane. Tutaj jest tych owoców jeszcze daleko więcej. Jeden gatunek najeżony jest niewidzialnymi prawie igielkami; igielki te wbijają się w palce cudzoziemca, który

bierze owoc po raz pierwszy w rękę, zostają w ranie i sprawiają dotkliwy ból.

Ogromna tarcza księżyca wysunęła się powoli na niebo i oblewa targowisko bladym światłem. Targ się kończy. Grupy Arabów i Kabylów rozkładają się obozem po targowicy około rozpalonych ognisk i posilają się wicherzą. Obok ludzi pokładły się zwierzęta juczne. Wieczór jak na Afrykę północną niezwykle ciepły. Bo też Tanger ma klimat nader łagodny i gdyby był w ręku Europejczyków, byłby już dawno głośną miejscowością klimatyczną, równie uczęszczaną jak Algier.

Powoli targowisko poczyną ogarniać cisza. Życie przenosi się teraz do wnętrza miasta, do ciasnych i wązkich uliczek. Lokale tańców brzusznych wabią Europejczyków odgłosami tamburynów i przytłumionymi



Kabyl.

dźwiękami muzyki. Utrzymują je Żydzi, niecierpiani przez swych współplemieńców arabskich z powodu wyzysku, jaki uprawiają.



Brama w Tangerze.



Konno do przylądka Spartel.

Wybieram się na wycieczkę konną do przylądka Spartel, północno-zachodniego cyplu Afryki. Musiało tu w starożytności rósć wino, bo przylądek zwał się Ampelusia, „przylądkiem winnic“. Młody Arab, kręcący się koło kawiarni europejskiej, ofiarowuje mi się na przewodnika. Ale przewodnika nie bierze się tu bez polecenia. Przewodnik może być w zмовie z Kabylami i wprowadzić Europejczyka w zasadzkę. Udaję się do kawiarni i wskazując właścicielowi jej, Hiszpanowi, nieznacznie zdaleka mego Araba, zapytuję, czy można mu zaufać. Właściciel rzuca okiem na przewodnika i powiada, że można z nim pojechać. Po niedługim czasie ruszamy. Palmy rosną tu koło drogi dziko, nie jak w Europie sadzone. Okolice trochę skalista, pusta,

prawie bezdrzewna, tylko kępki krzaków urozmaicają nieco widok. Chwilami spotykam przejeżdżającego na koniu Kabyla z strzelbą na ramieniu i wrogim wyrazem twarzy. Od wschodu i południa ciągną się nie-



Zaklinacz węzów w Marokko.



Dziewczyna marokkańska.

jącymi się w śnieżną pianę. W ogóle morze jest tu na rozgraniczu Oceanu i morza Śródziemnego stale niespokojne. Dzień pierwszej, przy przeprawie łodzią z okrętu na ląd w Tangerze, znalazłem się nawet skutkiem wzburzonego morza w niebezpieczeństwie życia. Fale były tak gwałtownie, że przewoźnicy Arabi zażądali za przewóz podwójnej taksy. Kiedyśmy się znaleźli w połowie drogi pomiędzy okrętem a wybrzeżem, fale zaczęły rzu-

regularnie porozrzucane góry a raczej wysokie wzgórza, poprzedzielane równinami i dolinami. Chwilami wjeżdżamy w okolice żyzne, o niezmiernie bujnej roślinności. Wille europejskie gubią się tu wśród zieleni drzew i ogrodów. Na horyzoncie zachodnim ukazuje się zdala niezmierzony Atlantyk. Po dłuższej jeździe zbliżamy się do jego fal, przybierających zblizka kolor zielony. Atlantyk bije tu zawsze o wybrzeże ogromnymi bałwanami, rozprysku-



Dziewczyna wiejska z Marokko.

cać łódką jak łupiną orzecha, tak, że mularne ramiona przewoźników tylko z najwyższem wyężeniem mogły poruszać wiosłami. Woda bryzgała wysoko, chwilami wpadała do łódki, przemaczając nasze ubrania. Była obawa, że zapełni całą łódkę. Piekielny wrzask Arabów potęgował wrażenie niebezpieczeństwa. Polecałimy już dusze Bogu, przygotowani na grób w falach; na szczęście bałwany zaczęły się zmniejszać, — w pobliżu pokazał się brzeg. Jeszcze kilkanaście



Kasza (cytadela) w Tangerze.



Brama cytadeli w Tangerze.

silnych uderzeń wiosłami i byliśmy ocaleni.

Po kilku godzinach jazdy jesteśmy u latarni morskiej. Mój przewodnik Arab rozściela w ogrodzie latarnika swój biały płaszcz w cieniu drzewa figowego, wśród kaktusów, i zaczynamy spożywać przywiezione zapasy. Wietrzyk łagodzi skwar afrykańskiego słońca. Pies latarnika usiadł przy nas i dotrzymuje nam towarzystwa przy obiedzie. Przed nami, jak okiem sięgnąć, Ocean.

Miałbym ochotę po-

jechać jeszcze do tz. grotty Herkulesa, przez rozległe pola, zarosłe krzakami, ale mój Arab nie radzi, bo pod wieczór wracać niebezpiecznie. Kabyl może zasadzić się za krzakiem i z ukrycia poczęstować kulą. Ruszamy więc z powrotem, by przed wieczorem stanąć w murach Tangeru.



5617